Rok V. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Kwiecień.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy
1899.

TREŚĆ ZESZYTU.

Kraków, 1899. — Drukarnia Uniw. Jag. pod zarz. J. Filipowskiego.

CUDA I ŁASKI

uzyskane przez Cudowny Medalik, za przyczyną św. Wincentego à Paulo, świętobl. Ludwiki Marillac i błogosł. Jana Gabryela.

Peruzya, sierpień, 1898. — Pewien biedny człowiek, liczący około 40 lat wieku, trapiony suchotami i opuszczony przez wszystkich, zostawał pod opieką Pań Miłosierdzia. Te ostatnie chciały go skłonić do przyjęcia Sakramentów św., do których on na nieszczęście nigdy nie przystępował, i nie wiedziano nawet, czy był u pierwszej komunii św. Był to człowiek grzeczny, okazywał wielką wdzięczność dla Pań, ale kiedy te wspomniały o przygotowaniu się do wieczności, odpowiadał z największą obojętnością przecząco. Kiedy ktoś wspomniał mu, że najgorętszem pragnieniem tych dobrych Pań jest to, by się wyspowiadał, odparł, że jeżeli dlatego tylko niosą mu pomoc, to im za nią dziękuje, że owszem porozumie się z przyjaciołmi, aby pogrzeb jego nie miał żadnej cechy religijnej. Mimo to pobożne Panie nie porzucały nieszczęsnego, podwoiły owszem swe wizyty i modlitwy do Boga. Raz odważyła się jedna z nich powiedzieć: „Niech pan pamięta o duszy, bo inaczej pójdzie pan do piekła“. „To pójdę do piekła“ — odrzekł szorstko. Usposobienie takowe miał dopiero zmienić Cudowny Medalik. Pewnego dnia, szczęśliwym trafem zeszła rozmowa na Siostry Miłosierdzia. Chory wychwalał Siostry i z przyjemnością

przypominał sobie, jak czułej doznał niegdyś opieki w szpitalu. Jedna z Pań zaproponowała mu, czyby nie zechciał pomówić z którą z Córek Miłosierdzia. Chory zgodził się i niebawem przyszła do niego S. Przełożona z towarzyszką, poprosiwszy wprzód resztę Sióstr, by się zgromadziły w kaplicy i odmówiły wspólnie litanię do Najśw. Panny wraz z wezwaniem: „O Maryo bez grzechu poczęta“, na intencyą grzesznika.

Chory przyjął Siostry wraz z Panią Miłosierdzia z radością. Siostra Przełożona wsunęła niepostrzeżenie Medalik pod poduszkę chorego, poczem, pomówiwszy o różnych rzeczach, spytała go, czyby nie odmówił krótkiej modlitewki do Najśw. Panny. Zgodził się i powtarzał za Siostrą słowa ukochanego wezwania: „O Maryo bez grzechu poczęta“, kiedy nagle łkanie zaparło mu głos. Siostra stanęła, żeby dać wolny bieg jego łzom. Poczem poprosiła go, żeby odmówił „Zdrowaś Maryo“ i jeszcze raz „O Maryo bez grzechu poczęta“. Chory modlił się i płakał: i łaska zwycięstwo odniosła.

Siostra ośmieliła się teraz zapytać chorego, czy ma ochotę odbyć dobrą i dokładną spowiedź. Na te słowa, które dotąd pobudzały go do wściekłości, odpowiedział spokojnie: „Lecz ja się nie umiem spowiadać, a zresztą jestem tak osłabiony, żebym nie mógł dłużej mówić. Siostra pouczyła go, jak się ma dobrze spowiadać bez zmęczenia i pożegnała go z sercem pełnem ufności i z gorącą modlitwą do Najśw. Panny Niepokalanej na ustach.

Po kilku dniach przybył odwiedzić chorego jeden z członków konferencyi św. Wincentego à Paulo. Zaledwo go chory spostrzegł, poprosił go o księdza, mówiąc, że się chce spowiadać. I wyspowiadał się rzeczywiście z tak pocieszającem usposobieniem, że wzruszony spowiednik błogosławił za nie Pana Boga i Maryę Niepokalaną. Sam też chory poprosił o Wiatyk i Ostatnie namaszczenie.

Ponieważ żył jeszcze kilka dni, odbył znowu spowiedź św. i oczekiwał chwili śmierci pełen nadziei w dobroć i miłosierdzie Boże. Skonał, przyciskając krucyfiks do serca i błogosławiąc Najśw. Niepokalaną Maryą Pannę.

* * *

Lima (Peru). Szpital Drugiego Maja, 10 lipca 1898. — Nowy dowód potęgi wstawiennictwa św. Wincentego obudził świeżo w nas nową ufność ku świętemu Założycielowi naszemu.

Młodzieniec 19-letni, pełniący posługi w hotelu, upadł niebezpiecznie i skaleczył sobie język. Ponieważ żyła została przerwaną, nastąpił gwałtowny upływ krwi. Używszy wszelkich zwykłych środków i wezwawszy napróżno pomocy lekarskiej, odwieziono chorego do szpitala Drugiego Maja. Była północ, a już od ósmej wieczór płynęła krew bez przestanku. Tu znowu próbowano wszelkich nowych środków — wszystko napróżno, krew jak ciekła, tak ciecze. Zawołał wtedy lekarz telefonem chirurga, czy się rana nie da jako zaszyć, w co sam jednak wątpił. Chirurg nie przychodził wobec tak późnej godziny. Siostra zaniepokojona niebezpieczeństwem chorego, uciekła się do św. Wincentego z prośbą o ratunek. Wraz z kilku innemi pomodliły się do św. Ojca naszego, poczem, zachęciwszy nic już mówić nie mogącego młodzieńca do ufności w pomoc św. Wincentego, przyłożyła do rany kompres zwilżony w wodzie św. Wincentego. W tej chwili stanęła krew zupełnie. Zdziwienie ogarnęło wszystkich. Lekarz i chirurg, który tymczasem nadszedł, uznali ten wypadek za nadzwyczajny, my zaś wielbiłyśmy ukochanego Ojca naszego za nowy cud.

Z Pilis-Csaba (Austrya), dnia 11-go października 1898 donosi ks. Medits również o cudownem uzdrowieniu pewnego już 72-letniego starca przez użycie wody

św. Wincentego, któremu wszelkie lekarstwa najmniejszej ulgi przynieść nie mogły. Chwała niech będzie Bogu, a cześć świętemu Wincentemu.

* * *

Mirabelle Eclano (Włochy) 25 maja 1898. — Dnia 22 marca dobra nasza Siostra Przełożona, S. Sacareau, zapadła na influenzę; położyła się do łóżka i po dwóch dniach groziło niebezpieczeństwo. Domieszała się straszna choroba serca i lada chwila miał ją razić paraliż. O ósmej wieczorem przyszedł lekarz i kazał jej udzielić ostatnich Sakramentów śś. jak najspieszniej. Jakżeż przygnębiające wywarło to na nas wrażenie! Przyszła mi myśl, że czcigodna nasza Założycielka, wielebna Ludwika, może nam uratować S. Przełożoną. Zwątpienie poczęło mię ogarniać, ale głos wewnętrzny wyraźniej jeszcze się odzywał: „Wezwij Jej pomocy; potrzeba bowiem, żeby czyniła cuda, by mogła być kanonizowaną“. Wezwałam jej tedy z wielką ufnością i powiedziałam o tem ukochanej chorej, która się zgodziła na wszystko. Przyrzekłam wówczas, że jeśli wiel. nasza Założycielka uzdrowi ukochaną naszą Przełożoną, opiszę to i poproszę o umieszczenie w „Rocznikach“. Równocześnie wystawiłyśmy obraz naszej Wielebnej i poczęłyśmy się modlić gorąco o uzdrowienie chorej.

Około północy wrócił lekarz, zbadał chorą i z wielkiem zdziwieniem oświadczył, że niebezpieczeństwo minęło prawie zupełnie, serce biło spokojniej i chora zwolna przychodziła do siebie. Obecnie chodzi już i wróciła do swych zajęć. Oto łaska, którą wyprosiła nam wielebna Matka nasza. Oby wypadek ten przyspieszył choć trochę tę chwilę, w której ujrzymy ją na ołtarzach.

Podpisały SS. Mosiello, Luccarini, D'Andréa, De-

francesco i S. Magna, załączając następujący certyfikat lekarza:

W marcu b. r. dobra i pobożna Siostra Augustyna Sacareau, Córka Miłosierdzia, dyrektorka tutejszej Ochronki, zapadła na gwałtowną influencę, która wobec przymieszania się gastro-intestynalnej lokalizacyi, doprowadziła ją do ostateczności, grożąc nagłą apopleksyą. Ponieważ żadnej nie było nadziei ocalenia tak drogiego dla wszystkich życia, przeto niepomierne było moje zdziwienie, gdy rano, 28 tegoż miesiąca dostrzegłem, że minęło wszelkie niebezpieczeństwo grożące czcigodnej osobie.

Niniejszem świadectwem stwierdzam prawdziwość tego wypadku, czyniąc go prawomocnym.

Mirabelle Eclano, 25 maja 1898.

Podpisano: *Dr. Leonard Panta.*

Z Hang-czu z Chin pisze S. Marya, co następuje:

Piętnastego, zdaje mi się, marca, przybył do nas chłopiec czternastoletni z głową okrytą głębokimi, skrufulicznymi wrzodami i strupami; byłto syn pewnego mandaryna, którego tu przysłano potajemnie wraz z nauczycielem, z prośbą bym się podjęła jego kuracyi, gdyż od trzech lat już leczyli go bezskutecznie lekarze nawet najzdolniejsi. Zrozumiałyśmy zaraz, że, po ludzku mówiąc, choroba ta jest nieuleczalną; nauczyciel jednak usilnie błagał, przedstawiając smutek i zmartwienie ojca, sam młodzieniaszek tak litościwie wyglądał, żeśmy się zdecydowały udzielić mu tej pomocy, jakiej nie odmawiamy biednym. Nazajutrz przybył i sam mandaryn, zawsze tajemnie, prosząc nas o opiekę nad swem dzieckiem, którego nie może ani nigdzie pokazać, ani przeznaczyć mu jakikolwiek urząd w przyszłości, i już naprzód przyrzekał się odwdzięczyć. Zgodziłyśmy się, że chłopiec będzie do nas przybywał co drugi dzień.

Zwróciłam oczy ku wielebnej Matce naszej, o której potędze u Boga i Matki Najśw. głęboko jestem przekonana, i prosiłam ją, jeśli to będzie z większą chwałą Bożą, żeby wyprosiła zdrowie nieszczęśliwemu. Do zwykłych maści, jakie miałam przykładać i do bandaży przytykałam mały obrazek wiel. Ludwiki, wzywając za każdym razem gorąco jej opieki. Będąc bowiem wśród pogan, nie mogę nie używać naturalnych lekarstw, inaczej wziętoby mnie za czarownicę, i mandaryn nie byłby więcej przysłał syna.

Nie upłynęły dwa tygodnie a stan chłopca ogromnie się polepszył; ponieważ jednak byłato choroba przestarzała, zachodziła obawa, czy, jak mawiał nauczyciel, korzenie jej zostały zniszczone, i czy nie wróci po jakimś czasie. Lecz wiel. Ludwika modliła się za swego ulubieńca i młody mandaryn został uzdrowiony całkowicie.

W listopadzie mandaryn złożył wizytę Misyonarzom, a to aby się zapytać, kiedy Europejczycy obchodzą Nowy Rok, który uchodzi za najuroczystsze święto u Chińczyków, albowiem, powiada, Pan nieba wsparł lekarstwa i zabiegi Sióstr, i chcę za to tym ostatnim okazać swoją wdzięczność. Jak powiedział, tak uczynił.

Pierwszego więc stycznia około południa, według poprzedniej zapowiedzi, przybył wspaniały „pi“ t. j. pochód tryumfalny, odbywający się czasem na cześć lekarzy za nadzwyczajne uzdrowienie, lub na cześć mandarynów, w nagrodę wielkiego odznaczenia się. Najpierw niesiono młodego naszego pacyenta dawnego we wspaniałem, zielonem krześle i wysadzono go w naszej rozmownicy. Uwiadomił on nas, że zaraz za nim przybędzie ojciec, co jest rzeczą nadzwyczaj rzadką. Rzeczywiście w parę minut pokazał się on w ogromnym palonkinie, zatrzymał się przed skromną naszą rozmownicą, wszedł

do niej i „wielki ten mąż“, jak go nazywają, dłużej niż kwadrans po prostu a szczerze wyrażał nam swoje podziękowanie za uzdrowienie syna. Sam odsłonił jego głowę, mimo tłumu ciekawych, którzy brali udział w ceremonii, pokazując, że żadnego nie pozostało śladu choroby i młody Tsen-tsen ma już piękną czarną czuprynę, którą wnet będzie można pleść we warkocz.

Później udał się do Misyonarzy, dokąd S. Przełożona posłała była zwykły posiłek, i zabawił tam przeszło pół godziny. Okazał się dla naszych Ojców bardzo serdecznym, ofiarując swe usługi, zwłaszcza, że świeżo otrzymał nominacyę na koadjutora podprefekta, przez co zyskał zwierzchnictwo nad kilku innymi mandarynami. Misyonarze wielką w nim pokładają nadzieję, a większą jeszcze na przyszłość, bo ma on zostać tao-tajem w Czekiangu. Również i syn jego, młodzieniec bardzo rozwinięty i zdolny, zajmie niezawodnie wysokie stanowisko w państwie, i jeżeli P. Bóg utrzyma w nim uczucia, jakie teraz żywi dla chrześcijan, ci ostatni wielkie w nim będą mieli poparcie.

Niech chwała będzie Bogu za wszystko; ci zaś, którzy te parę wierszy czytać będą, niech westchną do Boga o błogosławieństwo dla biednych misyj chińskich, tudzież o łaskę, żeby Ludwika Marillac okazywała się we wszystkich krajach czułą opiekunką swych córek.

Siostra Marya.

*
* *

Również za wezwaniem pomocy bł. Jana Gabryela ludzie nadzwyczaj licznych doznają łask. I tak w dwu tylko miesiącach: październiku i listopadzie r. ubiegłego nadesłano do Domu Macierzyńskiego około 40 listów dziękczynnych za uzyskane łaski, a załączane ofiary na cele misyjne wynoszą z tegoż przeciągu czasu około

850 franków. Najczęściej dziękują Błogosławionemu za szczęśliwe egzamina, za nawrócenie, za odzyskanie zdrowia, za pogodzenie małżeństw i inne. W jednym z listów czytamy co następuje: „...Pewien kleryk zapadł na gorączkę tak niebezpiecznie, że lekarz orzekł, iż nie ma dla niego ratunku. Zbolała matka nie odstępowała łoża ukochanego syna, a nie mogąc znaleźć pomocy u ludzi, udała się po nią do błog. Jana Gabryela Perboyra i rozpoczęła nowennę. Kończyła ją, a choremu nic się nie polepszało, owszem, lekarz zaręczał, że za trzy dni umrze. W ostatnim jednak dniu nowenny uczuła matka w zbolałem swem sercu głos, który ją zapewniał, że syn ozdrowieje. Mimo więc strasznych wyroków doktora, rozpoczęła drugą nowennę. I, o dziwo, w pierwszym zaraz dniu drugiej nowenny lekarz orzekł, że widocznie stan chorego się polepszył, i że to nie da się wytłómaczyć w sposób naturalny. Chory niebawem całkowicie zdrowie odzyskał".

Indult.

Ś. Kongr. Obrz. pozwala na 10 lat SS. Zakrystyankom Córek Miłosierdzia dotykać się naczyń świętych i prać bieliznę kościelną — z 2 grudnia 1898.

Najświętszy Ojcze!

Przełożony generalny Zgromadzenia Misyi i Córek Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, ścieląc się do Twych stóp, błaga najpokorniej o nowe pozwolenie na lat dziesięć dotykania się naczyń świętych dla Córek Miłosierdzia, którym powierzona opieka nad zakrystyą.

Zgromadzeniu Córek Miłosierdzia!

Ś. Kongr. Obrzędów na mocy, specyalnie na ten

cel udzielonej sobie władzy przez Ojca św. Leona XIII pozwala na nowe lat dziesięć, żeby te z Córek Miłos., którym zwierzone będzie staranie nad zakrystyą, mogły się dotykać naczyń świętych i prać bielizną. — 2 grudnia 1898.

X. kard. Mazzella, prefekt.
D. Panici, sekretarz.

Uwaga. — Zwraca się uwagę, że niniejszy indult dalej się rozciąga niż poprzedni, dołączając do władzy dotykania się naczyń świętych, przywilej prania bielizny kościelnej, jak puryfikaterzy, korporałów.

Sprawozdanie

z misyj we Wschodniej Galicyi, odprawionych przez XX. Misyonarzy z Kleparza na wiosnę r. 1898

napisane przez J. X. Krzyszkowskiego.

Wielkie to błogosławieństwo dla ludu, jeśli mu Pan Bóg gorliwych posyła pasterzy, którzy owieczki swoje nietylko prowadzą, ale prawie zmuszają do wejścia na drogę pokuty a tem samem na drogę zbawienia. Tak też dzieje się u nas, że Najprzew. ks. Biskupi, nie poprzestając na innych rozlicznych środkach pomagających do zbawienia dusz, urządzają jakby jakie święte obławy na dusze, chcąc je wszystkie gromadnie nagnać do sieci Chrystusa Pana. I cała Galicya, jakby na jakieś osobliwsze swięto Miłosierdzia Bożego, z wielkim pośpiechem myje się, odnawia i upiększa; a przez to zapotrzebowanie robotników misyjnych tak wzrosło, że partya kleparska musiała się rozdzielić i z kompletować, aby mogła odpowiedzieć żądaniom Najprzew. ks. Biskupów. Utworzone zatem zostały dwie partye: lwowska i krakowska.

Ponieważ partya krakowska pod przewodnictwem Przew. ks. J. Sokołowicza zakroiła sobie już w samej krakowskiej dyecezyi tak sporą dozę wycieczek misyjnych, że raczej ująć niż dodać coś do tego wypadało, dlatego my z partyi Przew. ks. Kamińskiego przyjęliśmy

na siebie, oprócz czekających nas w lwowskiej dyecezyi misyj, renowacyą w Zgórsku, w dyecezyi tarnowskiej.

Zgórsko.

Renowacyą tę rozpoczęliśmy w drugą niedzielę postu, to znaczy prawie okrągłe dwa lata po odprawieniu właściwej misyi. Zatem nauki misyjne lud jeszcze świeżo miał w pamięci, niemniej jak i same nasze osoby. Poznawali tych co przybyli, dziwili się dobremu wyglądaniu przy takiej pracy, o ks. Sokołowicza i Buchhorna, którzy nie przybyli tą razą do nich, dopytywali się jakby o jakich krewnych. Bo też tu lud bardzo poczciwy i słusznie go tak chwalił dwa lata temu w swojem sprawozdaniu z tutejszej misyi Przew. ks. Sokołowicz.

Renowacya daleko lżej idzie, niż misya: bo nauk jest tylko dwie dziennie, ludzi się już tak ostro nie nabiera, bo zwykle po misyach się poprawili, spowiedzi są krótsze, bo z całego życia już przeważnie wszystko wyspowiadane a nadto odpadają dosyć męczące ceremonie, jak „poświęcenie dzieci", oddanie parafii w opiekę Matki Najśw. i stawianie krzyża. Dlatego też choć renowacya trwała tylko 8 dni i pomocy z sąsiedztwa mieliśmy nie wiele, to jednak wyspowiadaliśmy kobiet i dziewcząt 1700, a chłopców i mężczyzn około 1300. Choć nie nalegaliśmy na to, aby wszyscy wszystkich nauk słuchali, bo renowacya to już nie taka ostra sprawa jak sama misya, chodzili jednak wszyscy prawie bez wyjątku wiernie. — Zdarzył się tu podczas misyi pożar. Już późnym wieczorem, gdyśmy szli na pacierze wieczorne, wywołano nas na podwórze plebańskie, skąd można było widzieć płomienie a nawet ruszające się postacie koło ognia. Myśleliśmy, że może w czasie gdy rodzice byli na misyi, dzieci coś zapaliły, więc zmartwiła nas potrochu myśl,

iż ktoś cierpieć będzie za to, że chodził na misyę. Ale na drugi dzień sprawa ta zupełnie inaczej się przedstawiła; bo właśnie nikt z tego domu na misyi nie był, bo mieszkańcy tego domu byli ludzie postępowi, którzy przez swoje złe życie i wiarę w Boga stracili, prawdziwi filozofowie chłopscy. Z kościoła i nabożeństwa się naśmiewali, przeklinali misye i Misyonarzy, a z tych, którzy na misye chodzili, wyśmiewali się i z nich sobie kpili: Na misye chodzicie, modlicie się i cóż więcej macie od nas, misya chleba nam nie da. Biedni, ani pomyśleli, że kara Boża już wisi nad ich głowami. Nagle zachorowała im krówka, ratując ją, przynieśli cegłę rozgrzaną i przykładali jej na brzuch, przyniesiono do obory i garnek z węglami żarzącemi, aby ostygłą cegłę znowu rozgrzać, ale to wszystko nic nie pomogło, musieli krowę dobić. Gdy siedząc za stołem smacznie zajadali sobie wieczerzę z owej krówki, którą baba im uwarzyła, chociaż to było w poście, w oborze od węgli zostawionych w garnku zapaliła się słoma i w jednej chwili ogień ogarnął wszystkie zabudowania i dom mieszkalny, w którym wszyscy zgromadzeni pożywali wieczerzę. Tak więc i druga krowa im się spaliła i samiby się byli spalili, gdyby ludzie, wracając z misyi, nie byli ich wyratowali, bo siedząc w domu nie wiedzieli, że dach nad ich głowami się pali. Po takim wypadku cała parafia się przekonała, że z Panem Bogiem żartować nie można, wszyscy też powtarzali: to widoczna kara Boża.

Lud tu bardzo biedny a poczciwy. Ks. Proboszcz przezacny, prawdziwie człowiek boży. Gdzieindziej wielka bieda z tem, aby ludzi nakłonić do uczęszczania na nabożeństwa i misye; tu, nie chwaląc się, ludzie w ścisku złamali marmurową pamiątkową chrzcielnicę, wartającą kilkaset złr. i coś dwie ławki w czasie samej renowacyi.

Pomijając szkodę, ciekawa rzecz jak bardzo musiały być kości tych ludzi ściśnięte, jeżeli aż marmur pękł.

W poniedziałek 14 marca odwiózł nas Przew. ks. Proboszcz osobiście do stacyi kolejowej w Mielcu, a stąd przez Dębicę i Tarnów tego samego dnia przybyliśmy do Krakowa, aby spakowawszy pokaźniejsze kufry, wyruszyć w czwartek 17 marca na tak zwane wschodnie misye.

Buczacz.

Z jaką bojaźnią czy zamyśleniem musi każdy Misyonarz wyjeżdżać z domu, do którego jest przyczepiony, jeżeli pomyśli, że wróci dopiero za cztery miesiące. Może zachoruje, może zapomniał wziąć z sobą jakieś rzeczy, czy też zobaczy jeszcze ten Kraków? Nic swojego nie ma i nie zostawia a jednak takie to serce ludzkie, że się zawsze przywiąże. Tu jeszcze jedna myśl, jak komar natrętny brzęczała koło głowy, że zawsze te wschodnie misyje mają pech jakiś. Po wyprawie koropieckiej, ks. Buchhorn zaniemógł, w drugiej wyprawie która się od Chocimierza zaczynała na samym początku ks. Rossmann porządnie zachorował i trzeba było jak ongi Cyrus katabazę urządzać, aby jakośkolwiek salwować honor misyonarski, a podobno i na innych misyach trafiały się ogłuchnięcia, zachrypnięcia, reumatyzmy. Ale cóż robić: bać się wolno pocichu, ale jechać trzeba z odwagą.

We Lwowie zabawiliśmy dzień jeden a w sobotę byliśmy już w Buczaczu. Na dworcu przyjął nas Przew. ks. Prałat Gromnicki, sławny kaznodzieja i człowiek niepospolity. Jeszcze większy strach, bo to nie każdy weźmie po Bekwarku lutnię, a tu już i OO. Jezuici i Redemptoryści w Buczaczu misye mieli.

Miasto Buczacz słynne z pięknego położenia i wiel-

kich nieporządków, których przyczyną są żydzi — jak to i sam pan burmistrz Buczacza, będący również mojżeszowego wyznania określił mówiąc: „Ten Buczacz, toby było bardzo porządne miasto, gdyby nie te żydy“. Jest ich też tu moc niesłychana i mają podobno jakieś szczególne przywileje nadane sobie przy końcu XVII wieku przez Stefana Potockiego, ówczesnego właściciela Buczacza. Historycznie pamiętne to miasto sięga połowy XIII wieku; Abdank-Buczacki osiedlił się w tem miejscu na „Tatarskim Szlaku“, aby bronić Ruś Czerwoną i Podole przed najazdami Tatarów. W XIV wieku zbudowano tu zamek a w roku 1379 Michał Buczacki postawił kościół. Sławny też jest Buczacz poniżającym pokojem jaki w tym mieście zawarła Polska z Machometem IV. ośmnastego października 1672. Miasto to dwakroć zdobywane przez Turków, za powtórnem zdobyciem (1676) do szczętu zniszczonem zostało; tem się też tłómaczy nadanie obszernych przywilejów żydom, aby ich przez to do miasta ściągnąć i użyć do podniesienia z upadku. Nowy kościół zbudował na początku XVIII w. Mikołaj Potocki, ten sam co w Horodence fundował kościół i klasztor Misyonarzy. O tym Mikołaju opowiadają po dziś dzień nawet rozmaite ciekawe zdarzenia podobnie jak o Radziwile „Panie Kochanku“. Onto wypędził Misyonarzy z Horodenki za to, że mu nie chcieli dać rozgrzeszenia. Nad bramą zbudowanego przezeń kościoła w Buczaczu widnieje pod herbem »Piława-Potocki“ napis: „Mikołaj Potocki chcąc w herbie mieć trzy krzyże całe, zbudował Bogu świątynię na chwałę“. Opowiadają o nim, że kazał wsadzać na drzewa kobiety, strzelał do nich, a następnie dobrze im płacił za takie posiedzenie. Często bił żydów lub chłopów, którzy mu w drogę wchodzili i za to dobrze płacił. Otóż gdy go raz ktoś z biednych zaczepiał, aby rozgniewany pan kazał go obić i dał mu

na końcu dobrą jak zwykle zapłatę, Kaniowski (bo tak go nazywano od starostwa w Kaniowie) odpowiada napastnikowi: „ne ma hroszy — ne budu bity“. — Te wybryki swoje pokrywał przed Bogiem hojnymi fundacyami i wznoszeniem wspaniałych świątyń. W samym Buczaczu oprócz ślicznego wspaniałego kościoła jest jeszcze przez niego budowany klasztór OO. Bazylianów i przy nim wspaniały kościół; mówię kościół nie cerkiew, bo styl jest czysto kościelny. Również przez Mikołaja Potockiego zbudowany został ratusz w stylu barokowym, jedna z najpiękniejszych budowli w Polsce. W opisywanie tych wszystkich zabytków wdawać się w sprawozdaniu niniejszem byłoby za długiem zboczeniem od przedmiotu, ale nie można pominąć milczeniem ruin zamku zbudowanego w XIV wieku, a zamieszkałego aż do śmierci Mikołaja Potockiego, po którego śmierci zamek opustoszał, a obecnie tylko podziemia są zachowane. Na Podzameczku o 2 kilometry od miasta również są ruiny zamczyska, gdzie jeszcze kilka pokoi w bramie wjazdowej widzieć można.

Na Podzameczku mieszka mazurska osada, która choć tu już wiek przeżyła, jednak tradycyj mazurskich i języka nie zmieniła; mazuzą niepsymizając kieby chłop z pod Tornowa. Po rusku nic nie rozumieją — ale za to do nabożeństwa, do kościoła, do roboty — jedyni ludzie, a że są w kupie, więc nietylko nic sobie nie robią z tego, że się „ludy z nich śmijut“ ale nawet sami dobrze się z rusinków naśmiewają. Dbają też wielce o czystość wsi i mają tylko dwóch żydków na samym koniuszku sioła i jednego rusina w środku. Ta wieś to serce parafii. O czwartej rano już w czasie misyi byli w kościele, a skoro wieczorem odchodzili z procesyą do domu, to aż się miasto trzęsło od śpiewania, bo każdy czytać na książce poradzi, a i z pamięci wiele pieśni

potrafi. Przykład ich pociąga drugich tak, że nad parafią Buczaczką, pod względem nabożeństwa trudno gdzie znaleźć bardziej rozwiniętą. Misya też, choć tu nie była nowością, jednak poszła jak z płatka. I choć pomocy w spowiedziach nie było, był to czas wielkanocny i każdy u siebie miał aż za wiele roboty — a ojcowie Bazylianie jakoś nie mogli przybyć z pomocą, jednak wysłuchaliśmy wszystko do nogi.

Wielce nas tu w pracy ożywiała serdeczność Przew. ks. Prałata Gromnickiego tutejszego proboszcza. Sam mimo dotkliwego cierpienia w nogach celebrował dla każdej seryi sumę, w czasie której rozdaje się komunię św. i za każdym razem porywającemi słowy zagrzewał swoje owieczki w nadprogramowych przemowach do wytrwania. A gdy przy zakończeniu żegnał Misyonarzy, płacz i lament wybuchł taki między narodem, jak na pogrzebie. Bo też to kaznodzieja ludowy pierwszej wody i gra na sercach narodu, jak mistrz. Postać jego zapisze się na długo w sercach Misyonarzy.

Po skończonej misyi przyszli włościanie do kancelaryi dziękować Misyonarzom, a że to nie były czcze formalności, to przekonuje nas i to, że skoro teraz jadąc koleją wyjrzy Misyonarz oknem, to zaraz się uśmiechają, kłaniają, jeden drugiego zwołuje i pokazuje w którym oknie ujrzał znajomego Misyonarza.

Kowalówka.

Już w Wielkim Tygodniu we wtorek popołudniu wyjechaliśmy z Buczacza, aby przed Wielkanocą jeszcze małą renowacyjkę urządzić w Kowalówce, gdzieśmy dwa lata temu pracowali poważnie pod wodzą Przew. ks. Buchhorna. Kościół tu powiększony i podwyższony dzięki staraniom i gorliwym zabiegom tutejszego proboszcza

Przewieleb. ks. Szamoty. Zacny ten duszpasterz wyznaczył sobie tak trudny tryb ustawicznej i wytężonej pracy w kierunku umoralnienia i oświecenia w rzeczach wiary swych owieczek, że każdego miesiąca zdawać się musi, iż przy tej znojnej orce duchownej ztarga swe siły. Lecz jakoś łaska Boża krzepi jego siły i praca idzie wciąż naprzód. Bawiliśmy tu bardzo krótko, żeby na święcone jajko nie zawadzać obcym, a także, że przyjemniej zawsze z swoimi spędzić święta. W Wielki Piątek zatem puściliśmy się w podróż do Sokołówki ja z ks. Kamińskim, ks. Dudek do Krakowa, a ks. Domoradzki już z Stanisławowa w świat wyjechał.

Cieszanów.

Zebrawszy się we Lwowie ruszyliśmy 23 kwietnia koleją przez Rawę ruską do stacyi Lubaczowa, skąd nas paradnie zawieziono czterema końmi do Cieszanowa odległego od stacyi Lubaczowskiej o jakie półtorej mili. Dobrze się zdarzyło, bo właśnie był to dzień odpustu i księży z dekanatu było zebranych wielu, więc mieliśmy sposobność zapoznania się z nimi i omówienia bliżej programu misyj, które się u nich kolejno odbywać miały. Miasto Cieszanów zamieszkuje ludność przeważnie polska, a nawet Rusini Cieszanowscy czysto po polsku mówią. Cerkwi w mieście niema wcale. To też zdawało nam się, że odprawiamy misyę coś jakby w Kętach, tylko, że tu mieszczaństwo nie takie butne, a pobożne bardzo. Odprowadzali wsiowych het za miasto ze śpiewaniem, a i nazad koniecznie ze śpiewem wracać chcieli. Sąd cały i wiele inteligencyi stanęło w komplecie i budowali regularnością w uczęszaniu na nauki. Niemniej żandarmerya chodziła na nauki, a to wszystko rozruszał nader skrzętny i pełen roztropności proboszcz miejscowy ks. Aleksander Zawadzki. Wyspowiadaliśmy mężczyzn około

1100, a kobiet 1200. Do bractwa wstrzemięźliwości przystąpili prawie wszyscy. Ciekawie też mieszkaliśmy w Cieszanowie, bo rezydencya nasza była odległa o dwa kilometry od miasta, a do niej jak z niej exportowano nas rano i wieczór pięknym krytym powozem; mieszkaliśmy bowiem w dworze WW. Państwa Gnoińskich.

Oleszyce.

Drugiego maja na nieszporach zaczęliśmy misyę w Oleszycach własności JO. księcia Władysława Sapiehy. Tu już daleko więcej Rusinów, ale ruch duchowny może jeszcze większy, niż w Cieszanowie. Ks. Ludwik Sadowski proboszcz tutejszy i dziekan Lubaszowskiego dekanatu, kapłan według serca Bożego z wielką pieczołowitością troszczy się o dobro duchowne swoich owieczek. Misye i rekolekcye są tu rzeczą dobrze znaną, dlatego i misya nasza była raczej jakiemś tylko odnowieniem i przypomnieniem, a nie łamaniem pierwszych lodów. Przykład JO. księżnej musi pociągnąć wszystkich. Podobnoś gdy wracano ze śpiewaniem z misyi, JO. księżna nie wyłączając się wcale sama z ludem pobożne pieśni śpiewała. Z zapałem wszystko co żyło ruszyło na misye, a w razie gdy cała służba udała się do kościoła, sama księżna zastępowała ją w domu. Spowiedzi szły nader lekko, bo tu dusze opracowane i do Boga bardzo ochotne.

Dzików.

Tu trafiliśmy na rzecz wprost przeciwną jak w Oleszycach. I tu misyj wiele było; stoją krzyże na pamiątkę misyi WW. OO. Jezuitów i WW. OO. Redemptorystów i jeszcze jakiejś innej misyi, a śladów tych misyj nie znać, jak pewnie za rok i z naszej misyi śladu nie zostanie. Czy to nazwisko nieszczęsne, czy jakieś inne okoliczności, tak wstrzymują odrodzenie się tego zakątka

dość, że misye są tu rzeczą powszednią, a jakoś nie bardzo wielki skutek odnoszą. Pracowaliśmy tu od 10go maja do 18 maja. Niektórzy parafianie, szczęście, że to byli podobno Rusini, donosili żydowi wszystko, co się w kościele mówiło, naturalnie nie w tym celu, aby żyda na katolicyzm nawrócić, ale jako niby do starszego na skargę na Misyonarzy, że lud buntują przeciw wódce. Nadto w czasie misyi dnia 15 maja wypadło ruskie nabożeństwo za pańszczyznę i wtedy w tych prawie polskich stronach kościół choć na tę parafię (2700 dusz) absolutnie za mały, jednak świecił pustkami. Dodać należy, że tu żydowstwa bez końca, i że czoło parafii Cewków liczący 1285 dusz niema własnej kaplicy. Za to żandarmi stojący tu na granicznym pasie dość licznie, budowali nas swoją pilnością w uczęszczaniu na misyę.

Magierów.

Z Dzikowa wróciliśmy do Lwowa, aby tam z tydzień odpocząć, a 22-go maja ruszyliśmy koleją do stacyi Dobrosin, aby rozpocząć misyę w Magierowie. Widokiem ludzi na stacyi i we wsi byliśmy trochę zdetonowani, bo to czysta Ruś; jakaś nieufność w twarzach i oczach, nikt z przechodzących Boga nie pochwali, ani się nie skłoni, ale chłopczyk co nas wiózł, pastuch księdza Dziekana, rezolutny i śmiały, dodawał nam z wejrzenia otuchy, że nie wszyscy są w tej parafii tak dzicy. Pytaliśmy między innymi chłopa, czemu ten koń po lewej ręce tak sapie, choć daleko mniej ciągnie, jak drugi? A on tak musi, bo się za to nazywa „burmistrz". Widać, że trochę rozumiał, co to znaczy być burmistrzem. Praca ta nie była wielka. Mieszczaństwo bardzo w rzeczach kościelnych obeznane spowiadało się jak teolodzy i siedziało na misyi od rana do wieczora, za to wsi ani

rusz spędzić nie można było. Mazury z Ulecka (a jest ich tam 717 dusz, czyli większa część parafii) dostali przydomek parszywych mazurów, bo ani kaplicy u siebie nie mają, ani do kościoła nie chodzą, ani koronek nie mają, ani szkaplerzy nie noszą. Na sam koniec misyi zbiegli się i tłumaczyli, że oni nie wiedzieli, co to będzie taka rzetelna chłopska misya. Myśmy czekać nie mogli i sprawdziło się: Mądry Polak po szkodzie, bo rzeczywiście wielka szkoda tej wsi czysto polskiej.

Rawa Ruska.

W niedzielę przed zakończeniem misyi w Magierowie, udał się nasz ks. superyor Kamiński wraz z ks. Domoradzkim do Rawy, aby tam zacząć misyę. Ks. Kamiński wygłosiwszy kazanie na sumie wrócił do nas do Magierowa, a ks. Domoradzki został na miejscu jako jedyny orator i promotor misyi Rawskiej na jeden dzień. Gdyśmy w poniedziałek popołudniu przybyli, zastaliśmy go zziajanego, spoconego i zachrypniętego. Dobry to znak, że tyle miał roboty w tej Rawie. Bo też to parafia rozruszana, a zacny tutejszy ks. proboszcz Wincenty à Paulo Czajkowski czujny jak żuraw, pracowity nad podziw, a i nieulękniony szermierz sprawy Bożej, choć na pozór zdaje się nieśmiały i zanadto łagodny. Choć tu misyę niedawno mieli WW. OO. Reformaci w swym klasztorze, umiał Przew. ks. proboszcz uczynić misyę korzystną tak dla miasta, jak i dla wsi inkorporowanych 8 dni trwała misya w mieście na dwa stany przy przepełnionym kościele, tak, że kazania przeważnie mówiło się na dworze, a resztę czasu rozdzieliliśmy na udzielenie misyj w główniejszych wioskach do parafii Rawskiej należących w miejscowych kaplicach. W samej Rawie, która się właściwie Polską nazywać powinna, wypadła

misya nader korzystnie, tak pod względem owoców duchownych, jak i zewnętrznej okazałości. Na czas misyi wypadło Boże Ciało i procesya, w której brało udział wojsko, szkoły, i wszystkie urzęda. Wyspowiadaliśmy kobiet 800, a mężczyzn 700. Prawda, że i tu są niektóre nawyczki wśród ludności, ale niema tej obojętności do rzeczy Boskich, która wiąże zupełnie kapłanowi ręce w naprawie złego. Trafi się coś, ale to złe jest ustawicznie zwalczane i nie może zapuścić korzeni. Wielką zasługą miejscowego księdza proboszcza jest to, że nawet tak odległych wiosek jak Wolka Mazowiecka (21 klm. od Rawy oddalona) nie zaniedbuje; owszem, parafianie z Wolki to bardzo pobożny i przywiązany do kościoła naród. Każdy z nich umie nawet po łacinie „Pater noster", co jest znowu dziełem WW. Panien Dominikanek Rawskich, które do Wulki często na exkursye jeżdżą.

Lubycza-Siedliska.

Po skończonej misyi w Rawie rozdzieliliśmy się na dwie partye: ks. Kamiński z ks. Domaradzkim pojechali do Lubyczy, my zaś t. j. ks. Dudek i ja udaliśmy się do Siedlisk. W Lubyczy Polaków nie tak dużo, ale Rusinów trochę dopłynęło i utworzyła się pokaźna misyjka trzydniowa t. j. dwa dni pełne i dwie połówki. Z wódką tylko szło opornie, bo tam każdy gospodarz to kniaź; rząd zaś spłacił kniaziom jakąś indemnizacyę, z której gmina spłaca wszystkim podatki, a co zostanie, to idzie na wspólny przepitek: i jakże tu w takich okolicznościach ślubować, kiedy pić za pozostałe od podatku grosze, to coś jak obowiązek obywatelski. Na zakończenie misyi w Lubyczy padła oktawa Bożego Ciała polskiego i ruskie Boże Ciało — więc narodu zbiegła się moc wielka tak, że procesya była imponująco wspaniała.

W Siedliskach w tymże samym czasie i w podobnych warunkach również powiodła się misya. W kapliczce, którą dla obrazu Matki Najśw. Nieustającej Pomocy zbudował JO. ks. Paweł Sapieha, tyle się narodu zbiegało tak Polaków, jak i Rusinów, że wydeptali spory szmat ziemniaków, bo kapliczka stoi na polu, a mieścić może coś około 10 ludzi w środku. Z boku jest namiot płócienny, a z przodu wystawka w kształcie ganeczka, z którego się mówiło kazania. Tak w Lubyczy jak w Siedliskach wyspowiadało się około 700 ludzi razem.

Rzyczki.

Na dzień 16 czerwca zjechaliśmy się do Rzyczek wszyscy czterej wśród huku moździerzy na plebanię do zacnego kapłana expozyta tutejszej miejscowości ks. Mańkuta. Kościółek tu śliczny, a w ołtarzu starożytny, prześliczny cudami słynący obraz Najśw. Panny, wyobrażonej stojąco w wielkości naturalnej. Pracowaliśmy tu dni cztery. Rusinom surowo wzbroniono chodzić na misyę, więc frekwencya nie była liczną. Wyspowiadawszy zatem wszystkich, postawiliśmy krzyż wśród huku moździerzy i odjechaliśmy wraz z Przew. ks. Czajkowskim do Rawy, bo do Potylicza z Rzyczek musi się przez Rawę jechać. Tutaj pożegnaliśmy się z ks. proboszczem Rawskim, który z jednej misyi zrobił cztery, co rzeczywiście daleko większy pożytek dla dusz przyniosło, niż gdyby misya w Rawie odbywała się przez 16 dni, a ludzie z wiosek do miasta przychodzić mieli.

Potylicz.

Bardzośmy się lękali, że w Potyliczu na początek zastaniemy ze cztery kobiety i jednego lub dwóch naj-

wyżej mężczyzn w kościele. Tymczasem zupełnie pomyliliśmy się w rachunku. Kościół był prawie pełny — a kościół to pakowny w stylu józefińskim zbudowany w miejsce bardzo starożytnego kościoła, który dawniej stał na wyniosłem wzgórzu panującem nad Potyliczem i całą okolicą. Miasto to stare, miało dawniej rynek wielkości krakowskiego co najmniej — jak świadczą murowane kolumny, których szczątki do dziśdnia się zachowały, a które miały dawniej stać na rogach rynku. Dziś stoją przy drodze, a Potylicz wygląda jak duża wieś z trzema cerkwiami (choć ksiądz ruski jeden tylko jest w miejscu), z kościołem poobrywanym z tynku i z plebanią wprost niemożliwą. Polaków tu niewielu — a kościół był zapełniony przeważnie Rusinami. Lud ruski i Polacy spowiadają się bardzo rzetelnie, spowiedzi szły zwolna, ładownie, a ponieważ w przewidywaniu, że roboty tu nie będzie, skróciliśmy misye z 8 na 5 dni, więc trochę musieliśmy sił swoich naciągać. Wyspowiadało się z górą 700 dusz.

Czyszki.

Wróciwszy do Lwowa i wytchnąwszy nieco odprawiliśmy renowacyę misyi w Czyszkach. Jeżeli już misya mimo słabości Przew. ks. Kamińskiego miłe zostawiła w pamięci naszych konfratrów wspomnienie, to cóż dopiero renowacya. W tej to właśnie miejscowości włościanie idąc za radą ewangieliczną: „Strzeżcie się fałszywych proroków“, napędzili socyalistów, gdy im we wsi chcieli odprawiać zebrania i lud bałamucić. Proroków zaś prawych, tak chętnie widzą u siebie, że sami zebrali pieniądze na pokrycie kosztów misyi i przyszli z tem do swego proboszcza Przew. ks. Sobolewskiego prosząc, aby im tych samych ojców, co tu mieli misye sprowadził.

Mieliśmy tu sposobność widzieć owoce, jakie wydaje misya, gdy po niej lud zostanie w rękach gorliwych duszpasterzy. Przy pomocy okolicznych księży i OO. Franciszkanów ze Lwowa (parafia Czyszki należy do WW. OO. Franciszkanów) wyspowiadaliśmy razem około 2200 mężczyzn i kobiet. Na tem zakończyliśmy misye wiosenne w Archidyecezyi Lwowskiej.

List Siostry Ludwiki Moniak

pisany do Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu [1]).

Podróż do Chin.

Marsylia 12 i 13 lutego 1898.

Całą sobotę i niedzielę przepędziłyśmy u Sióstr w Marsilii. Siostry dobre jak wszędzie. Na sumie słuchać musiałyśmy w czasie kazania pochwał oddawanych nam i naszym Misyonarzom, nie wiedziałyśmy co z sobą zrobić. Po południu przyszedł ks. Proboszcz zobaczyć Chinki, dał swoje błogosławieństwo i z uniesieniem powtarzał: Jakieście wy Siostry szczęśliwe.

Drżącym głosem odmawiałyśmy z S. Przełożoną modlitwy, polecając się Bogu i składając Mu ofiarę z siebie. Co się ze mną działo to nie wiem. Cała drżałam i nie wiedziałam gdzie idę, postępowałam za drugimi nie widząc drogi i tak milcząc w towarzystwie licznem Sióstr, doszłyśmy do portu. Czekał nas piękny ogromny statek, a na mostach otaczających port, mnóstwo ludzi; były tam i dzieci nasze, które w tym dniu prosiły ks. Prob., żeby nie mówił długiego kazania, aby się nie

---

[1]) Ponieważ dopiero teraz list ten otrzymaliśmy, umieszczamy go tak późno, ale sądzimy, że choć późno, podzielić się jednak nim z czytelnikami Roczników trzeba.

spóźniły. Weszłyśmy na statek, znalazłyśmy nasze miejsca, a potem poszłyśmy na pomost oczekiwać odbicia okrętu. Monseigneur Renaud i nasi Misyonarze znaleźli się wkrótce obok nas. Jest ich z Monseiniorem pięciu. Jeden zupełnie podobny do bł. Jana Gabryela a zawsze cichy, skupiony, zdaje się patrząc na niego, że się widzi Świętego z obrazu. Cała misya dostała błogosławieństwo Mons.; uściskałyśmy Siostry nasze, które nam towarzyszyły i już zostałyśmy same. Cisza była ogromna, wszyscy czekali stanowczej chwili odbicia okrętu. Po chwili poruszył się statek, odwiedziono most. My ze wzruszeniem odmawiałyśmy Ave Maris Stella i litanią do Najśw. Panny. Na pomostach wzniósł się okrzyk z tysiąca ludności. Misyonarze, Siostry nasze, dzieci żegnali nas powiewając białemi chustkami, a po chwili wszystko znikło. Został nam P. Bóg, niebo i rozległe morze. Długo staliśmy w milczeniu, aż zadzwonili na 6-tą na obiad. Weszliśmy do sali jadalnej, bo wszyscy podróżni razem schodzą na posiłek. Na środku stół dla nas, dla naszych Misyonarzy i dwóch Jezuitów. Przy stole jesteśmy razem, a mieszkamy obok. Na drugi dzień w poniedziałek wstałyśmy bardzo późno. Mszy św. nie było, bo Mons. był chory, dopiero we wtorek przed 6-tą rano urządziło się malutki ołtarzyk misyjny w prześlicznej sali muzycznej. Oprócz nas i naszych Misyonarzy nikogo nie było, bo o 6 tej wszyscy jeszcze śpią na statku i teraz mamy codzień mszę św. i komunią św. Ojciec Jenerał dał nam pozwolenie komunikować na każdej mszy ile razy się odprawia w tygodniu; a ponieważ Bóg dobry daje nam pogodę i ciszę na morzu, a więc codzień mamy komunią św. Jest kilku księży na statku, ale tylko Mons. może odprawiać mszę św. w sali, inni księża odprawiają ją w swych mieszkaniach a tam iść nie możemy. Msza św. na okręcie, to coś dziwnie wzruszającego, okręt się ko-

łysze, morze szumi, wszystko się chwieje, a tu malutka gromadka czeka przyjścia Pana, który i dla niej przychodzi z nieba. Dziś już mamy wspaniały ołtarz, który kapitan okrętu kazał zrobić, a który nasi Chińczyki codzień przynoszą i wynoszą. Jest ich tu dosyć do posługi okrętowej, bardzo są spokojni, pracowici, posłuszni, dobrze rozumieją po francusku, a na nas dosyć przyjaźnie spoglądają. Pogoda prześliczna, całe dnie przepędzamy na pomoście, oprócz godzin wspólnego posiłku. Wstajemy o 5-tej, o 6-tej msza św., o 7-ej śniadanie pierwsze, później odprawiamy dalej nasze ćwiczenia, zajmujemy się robotą itd., o 10-tej drugie śniadanie bardzo sute, które trwa do 11-tej i później. O 1-szej dają bulion, ale my nie chodzimy, od 2-ej do 3-ej jak w domu, a o 6-tej obiad aż do 8-mej; do 9-tej zostajemy na pomoście zwykle, przychodzi do nas Mons. i cała Misya, a o 9-tej herbata krótka i spoczynek. Ma się rozumieć, że modlitwy wieczorne i wszystkie ćwiczenia musimy przed 6-tą odprawić.

15 lutego. Przepływaliśmy cieśninę Messeńską pomiędzy Włochami i Sycylią. Z obydwóch stron widzieliśmy dobrze brzegi. Radość była ogólna, bo przez szkła można było dobrze widzieć miasta, kościoły, domy, koleje żelazne a nawet powozy i ludzi. 16 t. m. widzieć można było zdaleka Kandyą i Kretę. Dwie siostry chorują i to francuskie, a Belgia, Polska i Anglia doskonale się trzymają. Wogóle mało osób choruje, bo statek wielki, bardzo dobrze urządzony, prawie nie czuje się znużenia. Kuchnia bardzo dobra, a przytem zasada, że potrzeba dobrze jeść, aby nie chorować dodaje nam apetytu. 18 lutego. Pogoda prześliczna, morze spokojne — zdrowie dobre. Zrana o czwartej potrzeba było wstać, aby wysłuchać mszę św. wcześniej, bo o 6-tej okręt zawinął do portu Säid, na wybrzeżu Afryki; o 7-ej godz.

spuszczono łodzie, drabiny, zeszliśmy aby skorzystać ze spowiedzi i zobaczyć miasto i jego mieszkańców. Całe wybrzeże roiło się łodziami, którymi Arabowie przewozili podróżnych do miasta. Zabawnie było widzieć jak się dobijali, aby zarobić; przytem okazywali taką chciwość na pieniądze i niedowierzanie, że np. nas młody Arabczyk kilka razy przeliczał, a potem pieniądze, aby się nie pomylić. Mały Arab bardzo nędzny prosił z łodzi bardzo żałośnie o jałmużnę, wołając: à la mer, á la mer, á la mer, — rzucano mu ją w morze, on z łodzi wskakiwał do wody, dawał nurka, chwytał pieniądz w zęby i jednym susem był znowu w łodzi, aby dalej sztuką swoją się popisywać. Opowiadano, że są tak zręczni w pływaniu i odważni, że po pod spód okrętu w jednej chwili przepływa na drugą stronę. Miasto brudne, mieszkańcy bardzo biedni, ubrani dziwacznie niektórzy przez pół po europejsku, co bardzo razi jak u naszych przebranych wieśniaków. Spotykać można było ludzi różnej barwy: czarnych jak smoła, śniadych, żołtych. Wszystko gapiło się na nas a my na nich. Kobiety całe nakryte wielkiemi czarnemi zasłonami aż do ziemi, twarze zakryte, na sposób wschodni, a od czoła do końca nosa jakieś złote ozdoby jakby składane monety złote. Tak przypatrując się dziwom zaszłyśmy do kościoła Kapucynów — piękny bardzo. Było tam ze 30 małych Arabczyków z książkami, które po mszy św. z uderzeniem g. 8-mej stary Kapucyn zaprowadził pewnie do szkoły. Wkrótce przyszedł Mons., wysłuchał nas spowiedzi i wróciłyśmy na statek, aby z pomostu przypatrywać się Arabom, słuchać ich śpiewu i krzyków itd. O 11-tej byliśmy już w przekopie Suez. Statek posuwał się bardzo powoli z powodu piasków, które go zasypują. Tak jest wąski, że dwa statki przeminąć się nie mogą. Do przebycia przekopu potrzeba 16 godzin. Każdy spotykany statek

witał się nawzajem, życząc sobie szczęśliwej drogi. Bardzo dobrze obserwować można było okolicę. To też w tym dniu wszyscy żałowali czasu na posiłek, kto był chory zostawał u siebie, reszta wszystko było na pomoście. Nas tu czekała wielka przyjemność. Z portu Säia zatelegrafował Mons. do Sióstr naszych, które mają szpital w Szmalii w Arabii nad samym brzegiem przekopu. Jakaż była nasza radość, gdy około 5-tej godz. po południu zobaczyłyśmy kilka domów wśród oazy, a na pomoście na przekopie 6 kornetów. To nasze Siostry w łodzi nas czekały. Byliśmy bardzo blisko, statek ledwie się posuwał, mogliśmy rozmawiać, a cała nasza misya była w gromadce. Uklękły prosząc o błogosławieństwo Mons. a nas żegnały, wołając: Bon courage, bon voyage i powiewałyśmy długo chustkami, aż nam wszystko znikło jak zwykle na świecie. Biedne nasze Siostry tak odosobnione na tych niezmiernych piaskach pustyni. Wszyscy na statku byli wzruszeni i na drugi dzień opowiadali jeszcze sobie, jak nasza gromadka, tj. my, nasi Misyonarze i Siostry nasze arabskie oznakami prawdziwej radości witaliśmy się, jak prawdziwa rodzina. My wszystkie miałyśmy łzy w oczach. Na wybrzeżach przekopu widać tylko piaski i piaski pustyni, czasem całe góry piasku, a wśród nich oazy, czasem palma karłowata, czasem domek, lub Arab się przemknie, żałośnie śpiewając, lub inni zajęci łowieniem ryb lub wywożeniem piasku malenkiemi wózkami; widzieć też można pojedynczo lub gromadkami wielbłądy, szkoda żeśmy nie spotkali karawany. I tak leniwo przesuwając się, przeszedł nam dzień i noc.

19 lutego, sobota. Noc z piątku na sobotę miałyśmy okropną, bo przez całą noc robili przygotowania do zawinięcia do portu Suez. Skrzypiały maszyny, łańcuchy, spuszczano łodzie, nic nie spałyśmy; o 5-tej ledwie żywe, ale zdrowe wstałyśmy. Właśnie w czasie mszy św. i dzięk-

czynienia zatrzymał się statek, więc portu nie widziałyśmy a po śniadaniu znalazłyśmy się na morzu Czerwonem pomiędzy Egiptem i Ziemią św. Myślą przenosiłyśmy się do Ziemi św., bo brzegi to same smutne skały i kamienie i góry, żadnego znaku życia. Przepływaliśmy koło góry Synaj i bardzo dobrze ją widziałyśmy. Ciągle na straży byłyśmy aby jej nie ominąć. Trzy dni zostaniemy na morzu Czerwonem, spodziewam się, że nic nowego nie będzie do zobaczenia. Smutną dostałyśmy wiadomość, że zaraz po naszem przebyciu, morze Śródziemne tak ciche i spokojne w czasie naszej podróży, nawiedzone zostało okropną burzą. Wskutek eksplozyi maszyny na okręcie, który się wtedy na niem znajdował, podróżni ratować się musieli na łodziach i łódź z 300 podróżnymi zatonęła. Dziwnie Bóg czuwa nad nami. Zawsze widoczna jest opieka Boża nad dziećmi św. Wincentego. Dzięki Ci Boże, dzięki!

20 lutego, niedziela. Pogoda prześliczna. Wszyscyśmy zdrowi. Statek pędzi szybko. Rano o 8-mej była msza św. dla wszystkich podróżnych. Już dziś mamy paradny ołtarz. Na mszy sala była przepełniona. Dziś nic nie widzimy prócz morza, brzegi lądu znikły. Dobrze nam czas schodzi. Aby mieć zmianę, przy śniadaniu z moją sąsiadką S. Angielką rozmawiamy po francusku a wieczorem przy obiedzie po niemiecku. Siostry francuskie utrzymywały, że ja mówię po polsku a ona po angielsku i dobrze się rozumiemy. Pytały się Mons. jak to dziwnie, naśmiałyśmy się z tego powodu niezmiernie. Ma ochotę ta Siostra uczyć mię po angielsku, ale to potem jak będziemy w Chinach.

21 lutego. Pogoda śliczna, ale gorąco afrykańskie, noce przebyć trudno, jest się jak w kąpieli.

Wtorek 22 lut. w nocy 3 g. słyszymy do naszego mieszkania pukanie, na pytanie kto tam, otrzymujemy

odpowiedź, że to sługa okrętowy musi wejść zamknąć okno z obawy przed burzą. Rozświetliłyśmy nasz salon i nasz gość wszedł, powyjmował rury z okna, a my potem naśmiałyśmy się z tej niespodziewanej wizyty, bo też nam kornety nasze popsuł ze szczętem.

22 lutego rano byliśmy w porcie Djiboutti w Afryce zaraz po mszy św. mnóstwo łodzi otaczało statek, aby zawieść podróżnych do portu odległego o pół godziny drogi. Odpłynęliśmy malutką łodzią razem z naszymi Misyonarzami. W mieście sama nędza. Mieszkańcy czarni negrowie nadzy prawie, owinięci przez biodra płachtą, okropne robią wrażenie. Jest tu pora zimowa, a gorąco, o jakiem nie miałam wyobrażenia. Chrześcian tu bardzo mało. Kościoła katolickiego niema. Są tu Franciszkanki dwie na misyi i jeden Franciszkanin. Odwiedziłyśmy je. Są one bardzo biedne, nic zrobić nie mogą, bo rząd się im sprzeciwia. Mieszkanie ich to gorsze, niż u nas najgorsza stodoła. Meble to same paki, stare deski, beczki i połamane stołki. Klauzura, stary parawan przez środek. Druga izba przedzielona deskami nie heblowanemi, to kaplica i parloir. W tej ścianie nożykiem wywycinane kratki, to konfesyonał. Na drugiej stronie kuchnia. Jeden z Misyonarzy zawołał mię mówiąc, że mi pokaże kuchnię taką samą, jak w domu macierzyńskim w Paryżu. A tam ściana zawalona, opisać się nie da. To misya. W kaplicy jest Najśw. Sakr. O z jakąż radością odwiedziłyśmy P. Jezusa w jego ubożuchnem mieszkaniu. Była to środa popielcowa. Nadszedł Ojciec Franciszkanin i posypał nam głowy popiołem, który pozostał z rannego nabożeństwa. Miło nam było zacząć post po chrześciańsku. Zresztą żyjemy jak heretyki. Jemy mięso piątki i świątki. Franciszkanin zaprosił nas do siebie. Mieszka podobnie jak i Franciszkanki. Ma służącego negra, ale porządnie ubrany. Przyjmował nas konserwami z czereśni. Ponieważ nas było

12 osób, wyjmował cały swój serwis ze szafy. Były to począwszy od największych aż do malutkich kieliszków. Staruszek wesoły, bawił się razem z nami swojem bogactwem. Odprowadził nas do łodzi, do której wsiadła także jedna pani Polka i ot rozmawiam z nią po polsku. Powracając do statku kazaliśmy negrom śpiewać. Ustawili się w piramidę czterech i bawili nas swoim śpiewem, który możnaby nazwać raczej wyciem, ale byli przekonani, że nas zachwycają. Myśmy im pomagali i biedacy bardzo się cieszyli. Na statku mali negrowie popisywali się śpiewem, tańcami, wskakiwaniem ze znacznej wysokości w morze, szukaniem tamże rzucanej monety. Bawiło to bardzo, ale ja nie mogłam na to patrzeć, za nadto to widok dla mnie smutny biednych negrów wyprawiających gesty i skoki, aby cośkolwiek dostać. Tego wieczora zebrali się panowie i doskonale naśladując negrów śpiewali i tańczyli naśladując ich gesta, co im się bardzo dobrze udawało, a nas niezmiernie bawiło.

Do drugiego marca zostajemy na Oceanie Indyjskim. Codzień zbliżamy się do równika. Gorąco okropne. Noce trudno przebyć. Pocieszamy się nadzieją otrzymania 2 marca drugiej kajuty, będzie nam wygodniej. Nadzieją żyjemy, że za 17 dni t. j. na św. Józef będziemy w Shang-hai pomiędzy Siostrami naszemi. Ostatniego lutego był festyn na statku na korzyść wdów i sierót pozostałych po marynarzach, którzy potonęli przeszłego tygodnia, zebrano około 15 tysięcy franków. Komendant był bardzo zadowolony. Monseigneur kazał nam wziąć bilety myśląc, że pójdziemy na loteryę, tylko na loteryę; tymczasem komendant tyle naprosił się, aby im zrobić przyjemność naszą obecnością, że Monseigneur kazał nam iść na koncert. Robiono nam honory, a my się śmiały, że może jeszcze Siostry na wieczorku muzycznym nie były.

Program.

1. Andante Goltermann. (Piano et Violoncelle.
2. Danse Allemande. Beethoven. } Piano.
   Spimerlicot. (Mendelsohn).
3. Oceano nox. (Deklamacya).
4. Musica Probita. (Chant et Piano).
5. Andante du ser Trior. (Piano Violoncell et Violn.).
6. Le coeur. (Deklamacya).
7. La serenata. (Piano Violocelle).
8. Pasquinata. (Piano Violoncelle et Violn.).

Zresztą monotonne życie. Dziś nasza Polka była u nas ze dwie godziny, miałam przyjemność opowiadać o ukochanym Krakowie, o który bardzo się dopytywała. Jest ona z Petersburga i wszystko co polskie jest jej bardzo miłe.

Zbliżając się do portu mierzyli głębokość morza. Jest 220 m. Jutro zobaczymy Cejlon i prześliczną wegetacyę. Miejsce raju ziemskiego. Skorzystamy ze spowiedzi. Mszy św. na statku nie będzie, ale w kościele katedralnym w Colombo. Ale noc będziemy miały przyjemną. Mamy w kajutach + 30 st. R., to dosyć ciepło, a przytem skrzypieć będą maszyny, które są tuż przy naszym pokoiku, hałasy będą całą noc z przygotowaniami, życzę sobie z całego serca „Dobranoc“.

Colombo. Wyspa Cejlon dnia 2 marca 1887. Małym parowcem przybyliśmy ze statku do miasta Colombo. Jest to port angielski. Po dzikim Dyiboutti i po piaskach pustyni zdawało nam się, żeśmy w raju. Rzeczywiście cudna zieleń, kwiaty, palmy, nie można było oczu nasycić cudami przyrody. Zmiany pór roku niema żadnej, zawsze pięknie, ale gorąco straszliwe. Rankiem i wieczorem można tylko wychodzić. Podzieliliśmy się na dwa powozy: Misyonarze, dwa powozy, i my i taką karawaną podążyliśmy do katedry. Po spowiedzi zwiedzaliśmy

kościół, a później w tym samym porządku we cztery powozy pojechaliśmy pokłonić się arcybiskupowi i odebrać jego błogosławieństwo. Jaka śliczna kolonia — mówił — „pewnie całe Chiny nawrócicie“. Stamtąd tym samym porządkiem pojechaliśmy do szpitala, który utrzymują Siostry Franciszkanki, przeważnie Angielki. Tam my zostały na obiedzie, a nasi Misyonarze z Monseignorem pojechali na obiad do arcybiskupa. Ja niecierpliwie czekała końca obiadu, aby się zobaczyć z bananami i innymi owocami krajowemi. Po obiedzie ze dwie godziny zwiedzaliśmy szpital. Dziwnie to odbija zakonnice biało ubrane, nawet trzewiki i parasole (bo bez nich ani krok wyjść nie można) a chorzy czarni negrowie jak noc. Są prawie wszyscy protestanci, albo buddyści, ale często przed śmiercią nawracają się, Opowiadały nam zakonnice, że bez cudownego medalika nigdy nie są; a gdy chory nie chce się nawrócić, zaszywają mu medalik pod poduszkę i prawie pewne są dobrego skutku. Negrowie katolicy uśmiechali się do nas, pokazując szkaplerze i koronki, niektórzy byli dopiero dwa lub kilka dni po Chrzcie św. Za to dzieci dużo wysyłają do nieba. Jakież to śliczne powołanie poświęcić się dla tych biednych czarnych ludzi. Mnie się szczególnie podobały małe dzieci. Takie to ładne czarne jak gałki, tylko dłonie i stopy białe. Wszystko czarne, a takie silne, że dwumiesięczne dziecko doskonale się trzyma i siedzi i dobrze się śmieje. Z bielizną i pościelą nie mają kłopotu, bo negrowie nic nie mają prócz rogoży, jakiejś poduszki, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Tak też chodzą gromadami po ulicy, nic nie robiąc, szczęściem, że palmy wysokie. Dzieci około 9ciu, 10ciu lat mają tylko kulczyki w uszach, branzolety na rękach i nogach, pierścionki na palcach u nóg i srebrne paski, to wszystko. W sklepach nic kupić nie można, bo też Indyanie nic nie potrzebują

ani do ubrania, ani pożywienia, mają dosyć bananów, kokosów, daktyli itd. Widać, żeśmy się im podobały, bo za nami całemi gromadami chodzili, co mię strasznie gniewało. Zwiedziliśmy także muzeum. Równie pięknych rzeczy nigdy nie zobaczę. Wszystkie okazy roślin i owoców. Wszystkie zwierzęta, ptaki, owady, motyle tutejszej strefy, nawet słoń (szkielet), wieloryb, wszystkie gatunki małp, potem pamiątki starożytnych Indyan, monety, talizmany, bronie, stroje, kamienie grobowe na 500 lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana. Oj myślałam sobie! żebym też to wszystko zabrać mogła, a posłać do Krakowa ks. Słomińskiemu. Przed wieczorem wyjechaliśmy znowu nasycić się widokiem cudnej roślinności i wonią kwiatów. Tu gromady Indyan w kółko ustawieni oddają cześć zachodzącemu słońcu, tam znowu smakują banany i spoczywają po upale całodziennym. Straszne robią wrażenie biedni negrowie, którzy zamiast koni ciągną powozy. Wprawni są i przyzwyczajeni, bo prawie razem z koniem biegną. Ale nasze przyjemności nie bardzo miło się skończyły. Siostra Angielka upadła na ulicy i zwichnęła nogę. Zawiozłyśmy ją do szpitala. Czarny doktór opatrzył i osądził, że nie złamana, ale długo potrwa kuracya. Dziś już 11go marca, a wcale dobrze nie jest. Do łodzi zanieśli ją marynarze, a codzień na pomost wynoszą w krześle panowie podróżni, bo w kajucie dla strasznych upałów trudno, aby zostawała. Biedna nie może bywać na Mszy św. Po 9tej wieczór powróciliśmy do statku. Całe morze z łodzi ze statków jak zasiał różnokolorowem światłem, a przytem ciągłe błyskawice, które się w morzu odbijały, nadawały urok niezwykły. Już było dobrze, po północy poszliśmy na spoczynek.

4 marca. Imieniny ks. Siemaszki. Modliłam się za niego i myślą przenosiłam się do szkoły, gdzie mu dzieci

winszują. Rano dostałyśmy pozwolenie zwiedzić maszynę okrętową. Schodzi się myślę ze dwa piętra na dół. Prawdziwie rzecz godna widzenia. Cztery ogromne machiny jakby straszliwe młoty prowadzą okręt. Przyrząd jeden prowadzi wodę morską na wierzch okrętu do użytku podróżnych, jak do kąpieli, do tuszów, do mycia i szorowania i t. d. Inny przyrząd przerabia i destyluje wodę morską na słodką, inny przerabia wodę na lód, inny przyrządza sól do kuchni, Temperatura przewyższa 60°. Ogniska dają wyobrażenie ognia piekielnego. Pracuje tu 102 robotników, pomiędzy którymi 62 Arabów przywykłych do gorąca. Robotnicy pracują 4 godziny, a 8 spoczywają, a jeszcze mówią, że to bardzo ciężko. Wyszłyśmy jak z czyśca, nitki na nas suchej nie było. Potem zwiedzaliśmy kuchnie. Dziwnie czysto jak w salonie, zdaje się, że pyłku niema. Wszystkie przygotowania robią po za kuchnią. Kucharz ma Siostrę w naszem Zgromadzeniu, przychodzi nas odwiedzać. Serdecznie dziękowałyśmy komendantowi za przyjemność, którą nam uczynił. Jest to oznaka wielkiej życzliwości. Mówi on, że my ściągamy błogosławieństwo Boże na podróż.

Co wieczór zbieramy się na pomoście. Monseigneur opowiada nam dziwy o Chinach, aby pobudzić naszą gorliwość, która jeszcze nie ostygła. 5 marca sobota; oglądamy zdaleka wyspy Nicobary, podróż nas już nuży, liczymy wieczór gwiazdy, a w dzień śledzimy chmury. Na spoczynek idziemy około północy, bo dla strasznych upałów niepodobna wcześniej.

7 marca śliczny dzionek w naszej podróży. Od rana widzieliśmy zielone wyspy i różne statki na morzu. Choć upał straszliwy, radość ogólna, bo zobaczymy cuda świata. O 11tej godzinie rano zatrzymał się statek u portu angielskiego Singapore na południu półwyspu Malaca. Prawdziwy raj. Kwiaty, zieleń, palmy, a przytem prawdzi-

wie pięknie zabudowane miasto. W cztery powozy jak zawsze zajechaliśmy do klasztoru (Dames de bonne mort). W Colombo zakonnice całkiem białe, a tu całkiem czarne, w długich powłoczystych sukniach. Dom mają wspaniały, a szczególniej ogrody. Zajmują się przeważnie pensyonatem, mają także i sieroty, ale te są zupełnie oddzielnie. Zwiedzałyśmy ich piękne klasy, a popołudniu byłyśmy w kaplicy na angielskiej koronce i nabożeństwie. Zmian pór roku tu niema żadnej, tylko w porze wiosennej padają częste deszcze, a wtedy jest najpiękniej. Mieszkańcy trochę podobni do Chińczyków, ale mówią swoim oddzielnym językiem. Chłodem zwiedzaliśmy kościół katedralny, kościół dla Chińczyków, kościół dla Indyan, złożyliśmy uszanowanie arcybiskupowi i jego sufraganowi, dobre to, bośmy dostały dwa błogosławieństwa. Wielka szkoda, że nam brakło czasu na zwiedzenie ogrodu botanicznego, ma być cudem świata. Po obiedzie około 8mej odwiezły nas dwie zakonnice na statek, a po 10tej wieczór odpłynął statek na północ ku Saïgon.

9 marca, środa. Całe popołudniu oczekiwaliśmy nowej niespodzianki. Cały dzień morze burzliwe. Wiele osób choruje, z utęsknieniem czekaliśmy, aby oglądać ziemię. Morze się skończyło, wpłynęliśmy do rzeki, ustały choroby. Brzegi zieleniły się, niektórzy widzieli w zaroślach słonie i tygrysy, ale moje liche oczy nic zobaczyć nie mogły. Ubrałyśmy się pięknie, aby o 7mej zejść na ląd i przepędzić całą noc i dzień. O $5^1/_2$ dano obiad. Bardzo było wesoło, bo wiele osób kończyło swoją podróż. Po obiedzie zaraz rozpoczęły się pożegnania, a wkrótce zobaczyliśmy port francuski Saïgon. Wytoczono małe działa i wystrzały dały znak o naszem przybyciu. Po Misyonarzy przybył ksiądz z misyi zagranicznych, a po nas jedna z Sióstr de Chartres św. Pawła. Zakonnice te mają tu swój dom macierzyński. Strój prawie taki sam jak

naszych Sióstr z seminaryum tylko kornety krótsze a szersze; nowicyuszki w pelerynkach czarnych i białych czepkach, jak nasze postulantki, a krajowe aspirantki bose w spodnicach i długich bluzach z boku zupełnie otwarte. Zdziwiona byłam widząc taką gromadę, jak myślałam, młodych chłopców w refektarzu. Objaśniła mię zakonnica, że to są aspirantki we właściwym narodowym stroju. Dom mają wspaniały, a kaplica prześliczna. Dostałyśmy miejsca na dormitarzu gościnnym i wielka była nasza radość przebyć noc, jak u siebie. Rano o 5tej wstałyśmy, o 6-tej Msza św. Kaplica otoczona ogrodami, wszystkie drzwi pootwierane, miałyśmy przeto przez całą Mszę św. cudny śpiew ptaków.

Po śniadaniu pojechałyśmy do katedry, gdzie przybył Monseigneur nas wyspowiadać, później po przeszło 400 stopniach wyszłyśmy na wieżę katedralną oglądać miasto. Całe miasto jakby jeden ogród, bo każdy dom ocieniony być musi drzewami. Złożyłyśmy też uszanowanie biskupowi, odwiedziłyśmy Karmelitanki Bose, które z wielkiej radości zeszły do nas bez zasłony. Na obiad nie wróciłyśmy do pierwszego domu, ale zaprowadzili nas do drugiego tychże Sióstr, które mają tu szpital wojskowy. Po obiedzie zwiedziłyśmy cały. Ja umierałam ze znużenia i gorąca, o 2-giej powróciłyśmy do pierwszego domu, a skoro upał przeszedł około 6-tej, poszłyśmy do ogrodu zoologicznego. Wszystkie zwierzęta, ptaki, węże, małpy tutejszej strefy w klatkach. Pomiędzy ptakami słyszałam naszą kukułkę. Najwięcej nas bawił słoń. Rzuca mu się pieniądz za ogrodzenie, który trąbą podejmuje, idzie ku mieszkaniu strażnika, trąbą rzuca pieniądz na środek izby, kupuje banany. Rzucone banany podejmuje trąbą, wkłada do pyska, i zjadłszy przychodzi do osoby, która mu pieniądz rzuciła, wydaje głos na podziękowanie, a potem kłania się zginając przednie

swoje nóżki. Zabrakło strażnikowi bananów i dwa razy słoń rzucił pieniądze, a nie dostał. Rozgniewał się, nabrał w trąbę piasku i rzucił na środek izby, a potem chodził naokoło ogrodzenia i żalił się przed nami. Ja zachwycam się zawsze tutejszą roślinnością. Nasze malutkie roślinki chowamy w doniczkach z takiem staraniem, tu widzę wspaniałe drzewa pełne kwiecia i woni. Po 7-mej odwiezły nas dobre Siostry na statek, gdzie miałyśmy przebyć noc, bo statek miał odpłynąć o 3-ciej rano. Do kajuty zejść nie można było dla straszliwego gorąca i braku powietrza, ponieważ całą noc i dzień musiały być okna i drzwi kajut zamknięte. Spać niepodobna przy ładowaniu okrętu towarami. Przepędziłyśmy więc noc przechadzając się, trochę drzemiąc na krzesełkach, później przyglądałyśmy się ładowaniu okrętu, przygotowaniom do odpłynięcia, i tak to trwało do $5^1/_2$, około 6-tej odpłynął statek, a my jak po balu niewyspane, zmęczone, poprawiłyśmy nasze ubrania i dalej na Mszę św. Dużo osób zeszło w Saigon, mamy dużo miejsca na statku, jesteśmy swobodniejsze, ale też bardzo znużone. Wszystkie Siostry chorują, a ja wcale nie miałam choroby morskiej.

11 marca, 12 i 13. Dnie najcięższe w naszej podróży. Morze bardzo burzliwe, wszystko chore. Ja cały dzień polecam się św. Piotrowi, aby mię zachował od morskiej choroby, bo się jej bardzo boję i też skończyło się u mnie na strasznym bólu głowy przez jeden dzień. 13 marca w niedzielę była obawa, czy można odprawić Mszę św., bo okręt bardzo się chwieje, nie można się na nogach utrzymać. W nocy był taki wicher, że się nam zdawało, że pospadamy z łóżek. Szklanki na umywalni, statuetki, któreśmy sobie poustawiały, wszystko pospadało na ziemię. Wreszcie mszę św. miałyśmy w niedzielę, a tylko dwie Siostry odważniejsze przystąpiły do Komunii św.

14 marca poniedziałek. Jako nagrodę za ciężkie trzy dni przebyte dał nam P. Bóg ten dzień przepędzić najprzyjemniej z całej podróży. Port Hong-Kong Chiny. Miasto prześliczne najpiękniejsze ze wszystkich, które zwiedziłyśmy. Przyjechała po nas jedna z Sióstr de Chartres św. Pawła, aby nas zabrać na cały dzień. Dom mają nad samym brzegiem morza. Pierwsza przyjemność to list Siostry Wizytatorki, który nas oczekiwał. Zwiedzałyśmy dom. Najpierw „Dzieło św. Dziedzięctwa“. Żłóbek malutkie dzieci, które matki przynoszą na zawsze. Wiele z nich umiera i idą do nieba. Starsze z 50 w ochronce. Wszystkie dzieci za naszem przybyciem upadły na ziemię i uderzyły czołem. Jest to sposób witania. Mówiły nam pacierz po chińsku, śpiewały. Najstarsze, których jest przeszło 100, zajęte były robotą w szwalni. Są między niemi i dzieci Maryi w niebieskich medalach. Z podziwienia wyjść nie mogłyśmy oglądając roboty. Prześliczne klockowe koronki wykonują małe dzieci i starsze ciemne. Inne szyją i haftują. Wszystko szyją w rękach, maszyn nie mają. Równie ślicznych pracowitych haftów trudno zobaczyć. Dzieci utrzymują z pracy i z datków na dzieło św. Dziecięctwa. Jest tu także zakład Sióstr z Włoch. Mają tesame dzieła i pensyonat. Roboty tu i hafty dzieci chińskich jeszcze piękniejsze, niż w pierwszym domu. Przedpołudniem zwiedziłyśmy jeszcze katedrę. Resztę później. Miasto bardzo rozległe nie można pieszo zwiedzać. Powozy wszystkie ciągną Chińczycy, bo, koni tu prawie niema. Nie było innej rady. Zabawnie wyglądało 7 powozów z białymi kornetami. Na odmianę siadałyśmy do lektyki. Bawiło nas to niezmiernie. Nasi Misyonarze przepędzali dzień u księży misyi zagranicznych. Po obiedzie przyszedł do klasztoru biskup tutejszy. Zobaczywszy nas powiedział, że nas dobrze zna, bo mu nasz Monsignor opowiadał o każdej w szczególności. By-

łyśmy obecne ceremonii chrztu św. 7mioletniego chłopczyka. Matkę ochrzcił biskup rano w katedrze, a popołudniu chłopczyka. Jest to bardzo bogata dama chińska, którą Siostry przygotowywały do chrztu. Ubrana była w prześliczny strój chiński, cała głowa ubrana w dyamenty i perły. Suknia jej i chłopczyka z jedwabiu i atłasu w prześliczne kolory. Widziałyśmy prześliczny ogród publiczny, ogromne krzaki azalii, kamelii całe w kwiecie. Byłam w zachwyceniu. Potem tramwajem parowym wyjechałyśmy na ogromną górę prawie prostopadłą tam i napowrót. Z góry miałyśmy prześliczny widok na rozległe morze i całe miasto. Tramwaj trzyma łańcuch umocowany na wierzchołku góry, który machina parowa spuszcza i podnosi do góry. Tak zakończył się dzień, Siostry odwiozły nas do statku, a o 6tej wieczór pojechaliśmy dalej. Bardzo nam obecnie wesoło, bo za trzy dni będziemy w domu naszym. Siostra Wizytatorka prosiła o 30 Sióstr, obiecane miała 13, ostatecznie przeznaczonych 7, a jedzie 6.

1. S. Soninek z Brukselii. 2. S. Devane z Irlandyi. 3. S. Noguet Francuska z Rzymu. 4. S. Guigas z Lyonu. 5. S. Rey z Paryża. Misyonarze: Monseigneur Paul Reynaud, Ks. Chiapetto Paul z Turynu, Subdyakon Cottin Antoine z Paryża, Kleryk. Gheunissen Arnold z Holandyi, brat Malfait Victor z Paryża. Tak prawie kończy się podróż.

18 marca będziemy w domu. W towarzystwie Misyonarzy dobrze nam było. Msze św. Komunia św., spowiedź to pierwsze. Wszystkie kłopoty podróży z bagażami, z biletami, z przewozami nie znane nam. Monseigneur to chyba o niczem nie myślał przez całą podróż, jak o tem, aby nam sprawić przyjemność. We wszystkich portach ani chwili nie pozwolił zostać na statku, ale w tej chwili schodzić, aby na lądzie wypo-

cząć. Nie taką to zawsze podróż miały nasze Siostry. W czasie mojego pobytu w Paryżu, umarła jedna Siostra w podróży z Madagaskaru do Paryża. Jej towarzyszka przyjechała sama. Pierwsze Siostry jechały do Chin cały rok. Błogosławiony J. Gabryel ośm miesięcy, a my pięć tygodni. Jaka różnica! Bardzo mi się Chińczycy podobali. Pracują bez hałasu, ale wytrwale, podejmują ciężkie prace i z wytrwałością wykończają. Są cisi, spokojni, a szczególniej przyjmują z rezygnacyą wszystko, co ich spotyka. Jeśli mi czas pozwoli, to i z Chin pisać będę.

15-go marca w południe nagle nasz statek stanął. Zdziwione wybiegłyśmy na pokład, pytamy przyczyny, pokazują nam w oddali okręt, który daje sygnały, że jest w niebezpieczeństwie. Cały zanurzał się chwilami w wodzie, chwiał się. Pytamy o podróżnych, mówią nam, że w takim razie są zamknięci w kajutach i wyjść nie wolno. W wyobraźni mojej widziałam, że tam jest mnóstwo osób chorych, które zabiorą na nasz statek, a my będziemy je pielęgnować. Ja umierałam ze strachu i płakałam, o mało, że nie krzyczałam na marynarzy, aby się przecież spieszyli. Prędko zaczęliśmy zbliżać się do nich. Spuszczono łodzie nasze. 5 marynarzy naszych z kapitanem popłynęli do nich łodzią, aby się dowiedzieć, czego im potrzeba. My tymczasem niecierpliwie czekali ich powrotu, aby coś wiedzieć. Był to statek kupiecki naładowany 12.000 beczek ryżu. Maszyna zepsuła się, nie mogli więc dalej postąpić, stali już ze dwie godziny, to niewiele, bo czasem można czekać i tydzień. Szczęście, że morze w tem miejscu nie bardzo głębokie, bo przeszło 200 metrów można było zarzucić kotwicę. Ale na głębokości, którąśmy przebyli 400 metrów niepodobna rzucić kotwicę, można sobie popłynąć światami. Zadecydowano, że nasz statek będzie chorego przyjaciela cią-

gnął. Przybyli marynarze, aby wziąść liny i umocować na swoim statku i tak za nami chwiał się, wywracał na obie strony i prawie zanurzał w wodzie. Już było pół godziny drogi do najbliższego portu. Cieszyliśmy się, że naszego chorego przyjaciela dowieziemy, gdy nagle liny pękły, a nasz biedak jak domek z kart poleciał na pełne morze. Przestrach nasz był okropny. Dzwonić zawołał komendant, tuby, sygnały, latali majtkowie robić przygotowania, aby złapać naszego biedaka. Zadzwoniono na obiad, nikt nie miał ochoty jeść, każdego z osobna zapraszać potrzeba było, aby zeszedł. Zmierzch zapadał, praca była utrudniona, bo nie można było widzieć sygnałów, to są różnego rodzaju chorągiewki. Po obiedzie nasz przyjaciel wlókł się za nami, ale ciągle dawał znać, aby statek zwolnił, bo nie można zdążyć. Jakaż była nasza rozpacz, gdy około 9tej na 6 mil drogi od portu liny poraz drugi pękły, a my wkrótce zobaczyli zielone światło bardzo a bardzo daleko. Cóż zrobią pytaliśmy niecierpliwie, czy go zostawią. Przecież przeszło 30 osób na statku?

Dowiedziałyśmy się, że nasza łódź popłynie do nich dowiedzieć się, co zrobić potrzeba. Z godzinę czekaliśmy na powrót komendanta z marynarzami i ze smutną wiadomością, że musi biedak zostać na morzu do rana. Zarzuci kotwicę, a rano może dać sygnał do portu, który już był blisko. Za ciężki, aby go ciągnąć, a sam nie może robić. Wszelka pomoc dla ciemności nocy była utrudniona. My także do 2giej w nocy mieli spoczynek, my dobrze spały, bo statek był w spokoju, a my znużone przygodami dnia tego. Marynarzom musieli dać wytchnienie po pracy prawie 12 godzin. Rano nie widać było naszego biedaka, ale myślę, że szczęśliwie rankiem dostał się do portu.

17-go marca ostatni dzień naszej podróży. Zimno okropne. Poubierałyśmy się po zimowemu. Na pokład ani się pokazać, taki wicher. Morze chińskie nieżyczliwe nam, ciągle się na nas gniewa. Huczy, podnosi się ciągle. Siadłam przy otwartem oknie i woda morska cała mię zalała i moją dwudniową pracę. Siedzimy więc w sali i zapamiętale piszemy nasze pamiętniki. Pozalewane pismo to pamiątka morza chińskiego.

Shang-hai to piękne miasto. Mieszkańcy tutejsi bardzo inteligentnie wyglądają. Czarne włosy mężczyzn splecione w piękny warkocz nie od wierzchu głowy, ale jak u nas krakowianki, myślę sobie, niejedna panna u nas pozazdrościłaby pięknego warkocza chińskiego. Na głowę kładą okrągłe czapeczki z denkiem czasem kolorowem, czapeczki nie zdejmują nawet w kościele. Kobiety mają włosy ułożone bardzo starannie na głowie i nigdy głów nie nakrywają ani chustkami, ani kapeluszami. Nogi już tu malutkie, brałam miarę, trochę więcej nad 10 cm. długości, ale dosyć dobrze chodzą. Damy nie pokazują się na ulicy, a nogi mają tak malutkie, że może nogą zmieścić się w filiżance do herbaty. Dowiedziałam się, że nigdy bose nie zostają i nigdy na swoje nogi nie patrzą, i dla kobiety to straszna nieprzyzwoitość zobaczyć swoją nogę.

Do ostatniego namaszczenia mają pończochy z dziurą. Nie można tu dać obrazka nikomu, bo są nieprzyzwoite, wszyscy święci mają bose nogi, Chińczyk by nie spojrzał na taki obrazek. Nasze Dzieciątko Jezus na obrazkach nieubrane, to nie dla Chińczyków. Chińczycy są bardzo zręczni i nie potrzebują dużo narzędzi do swojej pracy. Widziałam murarza, który robił piękne gzymsy, a do tego używał dwóch prostych patyczków, a Siostry nasze Chinki są tak zręczne, że im nie potrzeba dwa

razy pokazywać robotę, lepiej wykonają. Jedziemy, nie mam czasu kończyć, resztę na później.

Austrya.

List ks. Ferdynanda Médits. kapłana Zgrom. Misyi, do ks. A. Milona, sekretarza generalnego w Paryżu.

Wiedeń dnia 25 września 1898.

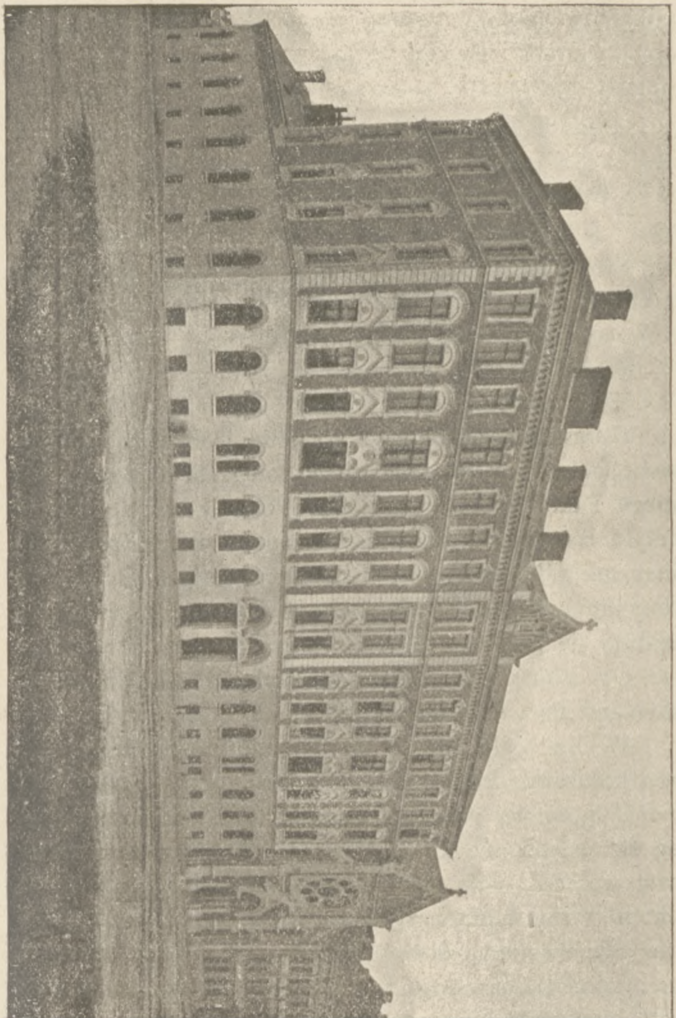
Mości Księże i kochany Bracie!

Ł. P. n. n. z. b. z. n.

Upraszam czcigodnego Księdza Dobrodzieja o łaskawe pokazanie Ojcu Generałowi fotografii domu św. Antoniego Padewskiego; widać tam i kościół tegoż Świętego w stylu romańskim, tudzież na samym końcu Małe Seminaryum (Ponthongasse, 16) przytykające z drugiej strony do kościoła. Właśnie ukończono budówę i dlatego znajduję się tu obecnie.

Oto kilka szczegółów o początku i celu domu św. Antoniego Padewskiego we Wiedniu.

W tym celu muszę się cofnąć do Touvre, gorliwego konfratra, który przybył z Francyi do naszej prowincyi. Zaraz na początku tknięty był nędzą kobiet i panien skazanych na karę więzienia, które odzyskawszy nawet wolność, stają się przedmiotem pogardy u wszystkich; nikt nie myśli przyjść im z pomocą ni też dać im jakie zajęcie: nieszczęśliwe te istoty doznają doli ostatnich wyrzutków społeczeństwa. To też na nowo oddają się występkom, stając się pastwą szatana. Widząc to wszystko, pomyślał ks. Touvre o schronisku dla tego rodzaju osób, w któremby znalazły stósowne zajęcie i utrzymanie. Za-



Dom św. Antoniego. Wiedeń, Ponthongasse 16.

czął więc zbierać składki na ten cel i jakoś to szło przy pomocy Bożej, kiedy śmierć zabrała go w połowie dzieła.

Atoli wraz z ks. Touvre nie zstąpił do grobu miłosierny jego zamysł, bo oto kilka osób z konferencyi św. Wincentego à Paulo podjęły się jego dokonania.

P. Bóg błogosławił ich zabiegom, i wszyscy, zwłaszcza zaś biedni, nieśli swoją pomoc do ukończenia tego dzieła. Pracę rozpoczęto r. 1887, i w krótkim czasie stanęła piękna Ochrona obok wspaniałego kościoła o trzech nawach w stylu romańskim. Finanse pozwoliły nawet na zakupno dwupiętrowego domu, który oddano na własność naszemu Zgromadzeniu z jednym tylko obowiązkiem, tj. żeby dwu księży obsługiwało kościół i zaopatrywało duchowne potrzeby osób Ochrony św. Antoniego Padewskiego. Dom ten obrócony został na Małe Seminaryum i mieści obecnie w swoich murach przeszło pięćdziesięciu chłopców, nadzieję naszej prowincyi.

Konferencya św. Wincentego powierzyła obsługę Ochrony św. Antoniego Siostrom Miłosierdzia. Cel tego dzieła jest potrójny. Przedewszystkiem mają tu znaleść opiekę kobiety i panny, które, uczyniwszy zadosyć sprawiedliwości świeckiej, odzyskały znowu wolność; ma im się dać zajęcie i starać się wrócić im lub wyjednać odpowiednie stanowisko. Powtóre mają tu znaleźć schronienie biedne służące i robotnice, które na starość zbyt często popadają w ostatnią nędzę. Po trzecie mają tu znaleźć opiekę, ale tylko za dnia, dzieci robotników i innych ludzi biednych, zazwyczaj całemi dniami biegające; dostaną tu pożywienie, a zarazem rzuca się w ich serduszka pierwsze ziarna bojaźni bożej i przywiązanie do religii.

Duszą tego zakładu i wszystkich jego dzieł był ks. superyor Marcin Derler, nasz konfrater. Umiał on znakomicie dodawać otuchy tym, którzy się zajmowali

dziełem tak pięknem, tak zgodnem z litościwem sercem św. Wincentego i doprowadził je do szczęśliwego końca.

Niech mi tu będzie wolno zrobić małą uwagę. Jak się Ks. Dobrodziejowi zdaje, czy nie byłoby to dobrą rzeczą, żeby ryciny każdego domu i kościoła naszego Zgromadzenia i Sióstr Miłosierdzia posyłano do domu Macierzyńskiego? W ten sposób możnaby mieć z czasem nietylko opisy prac naszych rodzin, ale zarazem i zbiór obrazów wszystkich zakładów, nieraz bardzo pięknych, w których się ta praca rozwija. Byłoby to najautentyczniejsze źródło do historyi obydwóch Zgromadzeń. Zdaje mi się także, że wszyscy członkowie obojga rodzin, zwłaszcza zaś najmłodsze pokolenia, czytając opisy dzieł, a nawet oglądając podobizny domów i kościołów, w których się te dzieła dokonują, tem więcej nabieraliby przywiązania i zamiłowania do powołania. Tak robili dawni zakonnicy, a zwłaszcza Jezuici, celem pogłębienia przywiązania i miłości ku swoim zakonom. Niech Ks. Dobrodziej pomyśli o tem trochę i uczyni co mu P. Bóg poradzi [1].

Pozostaję zawsze w miłości Pana Jezusa itd.

Ks. F. Medits

n. k. Z. M.

---

[1]) Ks. Milon oświadczył w Rocznikach francuskich gotowość pójścia za tą radą gdy okoliczności pozwolą i uprasza o łaskawe nadsyłanie fotografij domów, kościołów nawet wspólnych fotografij członków.

Macedonia.

List ks. E. Cazot, kapłana Zgromadzenia Misyi do ks. A. Fiat, Przełożonego generalnego.

Zeitenlik, 14 września 1898.

Najczcigodniejszy Ojcze,

Proszę o błogosławieństwo, jeżeli łaska!

W Kukusz dzieją się rzeczy, o których poczytuję sobie za obowiązek donieść Najczcigodniejszemu Ojcu.

W sobotę, 8 września, o godzinie 8 ej wieczorem, przybyła do nas Siostra Pourtalès. Wracała ona od konsula francuskiego, u którego była z zażaleniem. Oto, o co chodziło.

W dzień Ścięcia św. Jana w czasie sumy jakiś człowiek nazwiskiem Sirkar udał skarbnika kościelnego, zabrał pieniądze i schował do kieszeni. Tymczasem popi obstąpili Sirkara, domagając się skradzionych pieniędzy. Kiedy tenże oświadczył, że nic nie zabrał, zbliżył się i sam biskup i rozkazał mu oddać co zabrał. Złodziej rzucił się na biskupa, a ten bronił się laską, którą miał w ręce. Przybiegły i Siostry z pomocą, a jeden z popów z pomocą Siostry ujął Sirkara za ręce i usiłował go wypchnąć z za stołu składek, do którego się przyczepił. Policya uwiadomiona o tem przytrzymała złodzieja, który zresztą nie miał już skradzionych pieniędzy.

Zanim jednak przyszła policya, tłum eksarchistów usiłował wpaść do kościoła i nie myślał ustąpić, aż dopiero odparły go dzielne Siostry, uzbrojone w trzewiki, przy pomocy których w końcu plac odzierżyły.

Ta to sprawa sprowadziła S. Pourtalès do Saloniki. Ale była to tylko przygrywka do nowego kawałka.

Odgrażano się pomstą nazajutrz, ale policya czu-

wała i nic złego nie zaszło. Za to wczoraj, we wtorek 13 września, w dzień nowego roku liturgicznego u Bułgarów przyszło do większych zamieszek.

Siostry spostrzegły jakieś rozgorączkowanie wśród tłumu, kiedy szły na mszę św. Msza św. jednak przeszła spokojnie. Po mszy, w czasie rozdawania święconego chleba, eksarchiści licznie zgromadzeni wyszli z kościoła i ustawili się u wejścia w zamiarach nieprzyjacielskich. Policya próbowała ich rozpędzić, ale opieszale i dlatego napastnicy zostali na miejscu. Kiedy Siostry chciały wyjść, dwie kobiety obok stojące zaczęły je lżyć. Byłto sygnał do ataku. Chłopi rzucili się na Siostry, zaczęli je bić, obalać, deptać nogami. Gwałtowne uderzenie pięścią w głowę powaliło S. Portalès o ziemię wraz z trzema innemi Siostrami. Jedną z nich uderzył któryś ze zbójów gwałtownie nogą w piersi tak, że dziś nosi ślady tego uderzenia. Wreszcie policya wyrwała Siostry z rąk napastników i schroniła je napowrót do kościoła. Eksarchiści atoli potłukli szyby i chcieli wyłamać kraty żelazne w oknach. Kiedy im się to nie powiodło, wdrapali się na dach perystylu, wyłamali z góry okno, rzucili je na Siostry, poczem spuścili się do wnętrza. Wtenczas nadzorca policyi kazał otworzyć drzwi i odprowadzić Siostry pod eskordą do ich domu. W kościele trwała dalej walka.

Kajmakan, dowiedziawszy się o wypadku, kazał natychmiast kościół zamknąć.

Zaraz po tem zajściu pojechała Siostra Pourtalès do p. Dubreuil, konsula francuskiego. Natychmiast wysłano telegram do Kajmakana, żeby otoczył Siostry opieką i obiecano wysłać człowieka na miejsce wypadku dla zbadania rzeczy.

Siostra Pourtalès odjechała dziś rano, a ja jadę jutro do Kukusz zobaczyć, co się dzieje z Siostrami i Mons. E'piphane'em. Jak wrócę, to znowu Ojcu napiszę.

Piszę również do Mons. Bonnetti do Konstantynopola o tem co zaszło, żeby poczynił stósowne zabiegi jużto u ambasadora francuskiego, jużto u Porty. Oto kościół Najśw. Panny zamknięty, a może i św. Jerzego, jak mówią. Na jak długo? Niewiadomo. Z Turkami to może potrwać bardzo długo. A dla kogo zostaną otwarte? Dla katolików czy eksarchistów? Ci ostatni dołożą wszelkich sił, żeby dostać kościół dla siebie. Jeżeli im się to uda, to już po katolikach w Kukusz.

Czarna chmura unosi się nad naszą misyą macedońską. Co z tego wszystkiego będzie? Bóg sam raczy wiedzieć.

Pozostaje z najgłębszym szacunkiem itd.

X. E. Cazot,
n. k. Z. m.

List Siostry Pourtalès, Córki Miłosierdzia do Przełożonej generalnej, Siostry Lamartinie.

Kallamari 8/20 września 1898.

Najczcigodniejsza Matko!
Ł. p. n. n. b. z. n. z.

Dowiedziałaś się już niezawodnie z listów ks. Cazota, co się tu u nas działo. Prócz trochę bólu w kościach, nic się nam już złego nie dzieje. Krzywdzicieli naszych aresztują.

Bardzośmy z tego szczęśliwe, żeśmy mogły choć trochę ucierpieć za naszą świętą wiarę. Prosimy tylko Boga, żeby katolikom pozostawił kościół Najśw. Panny, gdzie nas znieważano. Gdyby nie ta ostatnia okoliczność, to niezawodnie byliby nam go odebrali i misya byłaby musiała zostać zwiniętą. Wskutek zaś naszego pobicia

wmięszał się w sprawę konsul, czynią się zabiegi w Konstantynopolu i jest nadzieja, że przestraszeni Turcy przykładnie ukarzą buntowników, a kościół katolikom pozostawią.

Kilka z naszych wychowanek też odniosło razy, ale iż to są Turczynki, przeto konsulat o nie nie dba.

Zeitenlink dnia 25 września 1898.

W zeszłą środę byłem w Kukusz. Wreszcie się rzeczy załagodziły. Komisarz śledczy okazał się bardzo życzliwym dla katolików. Dwóch głównych przywódców buntu aresztowano, reszta zagrożona podobnym losem za najmniejszy rozruch. Siostry podały zażalenie do konsulatu, dołączywszy świadectwo lekarzy odnośne do poniesionych ran. Konsul zajął się seryo sprawą i mam nadzieję, że cała rzecz wyjdzie katolicyzmowi na korzyść. Wszystko więc już skończone i to w taki sposób, żeśmy za to winni Bogu dziękować. Siostry wróciły do zwykłych zajęć; obecnie rozpoczęły winobranie.

Pozostaję z najgłębszym szacunkiem itd.

X. E. Cazot,
n. k. Z. m.

List Siostry Pucci, Córki Miłosierdzia do Przełożonej generalnej, Siostry Lamartinie.

Salonika 25 października 1898.

Najczcigodniejsza Matko!
Ł. P. n. u. b. z. n. z.

... Już od dawna oczekiwałyśmy deszczu; atmosfera stawała się coraz cięższą, siły opadały od duszącego upału ;

to też kiedy 20 października ujrzałyśmy około 7-mej wieczorem błyskawicę, ucieszyłyśmy się, spodziewając się zwykłej burzy, która ochłodzi i zwilży zeschłą ziemię i odświeży powietrze. Lecz jakież było nasze przerażenie, kiedy nagle odezwał się straszny huk piorunów; grad wielkości kurzych jaj zaczął tłuc szyby i dachówki, przedostając się do pokojów. Trwało to tylko przez 7 minut, a narobiło ogromnego spustoszenia w mieście i okolicy. Poprzestanę na opisie tych tylko szkód, jakich same doznałyśmy. Jak Ci wiadomo, Najczcig. Matko, mieszkamy od 7 lat w dwóch starych barakach, które dawniej służyły za szpital, ustąpiwszy naszego pięknego domu chorym. Skoro już i tak domostwa te ledwie stały, to wyobraź sobie, co się zaczęło z niemi dziać przy wietrze i gradzie.

W mgnieniu oka wszystko zalała woda, potrzaskał grad; szczęście, że nam samym nic się nie stało. Deszcz lał przez całą noc, to też w domu, na piętrze, płynęła woda jak w rzece. Wszystkie jednak Siostry z nieopisaną wytrwałością jęły się wylewania wody, żeby się nie przedostała niżej, dokąd poznosiłyśmy na prędce wszystkie sprzęty, któreśmy mogły uratować.

Nad ranem deszcz zwolniał i można było spocząć. Ale gdzie się położyć, skoro łóżka zalała woda? Przez cały następny dzień szalała burza. Trzeba więc było ustąpić z naszych szop, nim się na nas powalą i powynosić sprzęty. Deszcz leje jak z cebra, a my, przemokłe do suchej nitki, bez parasoli, które na nic się nie zdały, boso, z wielką chustą na głowie i ramionach, przenosimy rzeczy do szpitala i do rozmownicy Misyonarzy.

Około czwartej po południu dwie czy trzy Siostry zbierały jeszcze niektóre przedmioty w zalanym gmachu, gdy dał się słyszeć krzyk: „Uciekajcie, dach się wali“. Byli to robotnicy, chcący załatać nieco dach nad kla-

sami. I rzeczywiście, ledwo Siostry wypadły na zewnątrz, część domu runęła. Mimo to ratowałyśmy dalej, co się dało, wynosiłyśmy bieliznę, żeby choć coś zostało.

Szpital również dużo ucierpiał, jak wszystkie domy w mieście: wszędzie dachówki połtuczone, szyby powybijane, wszędzie powódź i szkody ogromne.

A kochany kościół! Co za spustoszenie w tym gmachu, co nas tyle kosztował potu i trudów! I dom Misyonarzy ogromnie ucierpiał, bo wszystkie sufity się pozapadały. Tożsamo i nasza szkoła. A co dopiero nasze biedne baraki. Co oszczędził grad, musiało być zburzone, bo groziło niebezpieczeństwo przechodniom. Czy uwierzysz mi, Czcigodna Matko, że własnemi rękami musiałyśmy rozwalać resztki naszego mieszkania? Bo niepodobna było dostać robotnika, przynajmniej za niezbyt wygórowaną zapłatę.

Szczęściem, że nadzwyczajne poświęcenie Misyonarzy przyszło nam z pomocą. Księża i bracia pracują nad tem, żeby ochronić cośmy uratowały przed nowym deszczem, który znów zapowiadają chmury. Misyonarze zaś z Zeitenliku przybyli wraz ze swymi uczniami bułgarskimi do miasta, żeby zastąpić robotników i dzieło zniszczenia postępuje szybkim krokiem. Serce twoje, Czcigodna Matko, powie ci, co się w tej chwili dzieje w mojem sercu!

Schroniłyśmy się do szpitala jakeśmy mogły, bez ładu i porządku, bo połowa szaf poszła w kawałki.

Myślę, jakby tu z tego wyjść, co począć, skoro zima nadchodzi, za co zbudować nowy dom, zanim nadejdzie?

P. Jezus taką nam podał myśl: Wystawić na naszym podwórzu prowizoryczną szopę z ocalonego materyału budowlanego; ona zastąpi nam aptekę i dispensatorium, same zaś pozostaniemy gdzie jesteśmy obecnie,

zużywając na ten cel i rozmownicę. W ten sposób oszczędzimy wielkich wydatków i zostaniemy w jednem zabudowaniu. Z ufnością i odwagą oddaję się w ręce Opatrzności. Mogłażby ona nas zawieść?

Piękny nasz dom, wystawiony dla sierot, oddałyśmy chorym, same mieszkałyśmy w domu jakim takim... Pan Bóg wygnał nas z niego nagle... zapewne, żeby nas ocalić przed niespodzianem zawaleniem w czasie zimy, bo wszystkie słupy były już na wpół przegnite.

Nie śmiem niczego żądać... prosimy, zdajemy się, czekamy.

Wybacz, Najczcigodniejsza Matko, że tak bez ładu piszę. Biedna moja głowa taka zmęczona, a spieszę się na pocztę.

Kończąc, proszę bardzo i gorąco o modlitwę za biedne Siostry w Salonice, zwłaszcza za tę, która z najgłębszym szacunkiem i córeczną miłością czuję się szczęśliwą, pisząc się w Najsłodszych Sercach Jezusa i Maryi Niepokalanej, twoją, Najczcig. Matko, najpokorniejszą i zawsze posłuszną córką

Siostra Poucci

n. C. M. sł. ub. i chorych.

Chiny.

Cze-li Północny.

List Mgra Favier'a koadjutora Mgra Sarthou, do ks. Milona, sekretarza gener. w Paryżu.

Pekin, dnia 14 sierpnia 1898.

Mości Księże i kochany Bracie!

Ł. P. n. n. z. b. z. n.

W maju, pod pozorem stłumienia możliwych rozruchów, przysłano do naszej prowincyi 2500 żołnierza

z Kan-su. Przezorność ta była bardzo niedorzeczy: wojsko to jest bezkarne, zbójeckie, a lud boi się go jak zarazy. Około 4000 tych ludzi umieszczono na przedmieściach stolicy tej prowincyi Pao-tyn-fu.

6-go lipca około 5 wieczorem dwu podoficerów zaczęło się gwałtem dobijać do drzwi naszej rezydenyi w Pe-koan, przeklinając w straszliwy sposób Kościół i Europejczyków, przyczem zbili okrutnie odźwiernego. Wtedy nasza służba ujęła obu złoczyńców i poszła zawiadomić władzę o tem, co zaszło. Zanim jednak przybyli mandaryni i żołnierze tutejsi, dwustu brygantów z Kan-su pod wodzą kapitana wpadło na nasze podwórze, zabiło służących, a ks. Paweł Uang, nasz konfrater, który chciał się z nimi rozmówić, uderzony maczugą w głowę, zalał się krwią i padł na ziemię. Ks. Dumond, dyrektor misyi w Pao-tyn-fu otrzymał trzy ciężkie rany w skroń. Kilku żołdaków ujęło naszych konfratrów i zawlokło ich do pagody, służącej za główną kwaterę, reszta zaś rzuciła się na nasz dom: drzwi, okna, obrazy, naczynia i meble padły z łoskotem. Na szczęście dzieci ze zakładu i szkół zdołały uciec. Tłuszcza w pagodzie znęcała się w straszliwy sposób nad Misyonarzami, grożąc im śmiercią. Ocalił ich prefekt miasta, który przybył się rozmówić z szaleńcami, i odesłał ich we własnym powozie do oberży, gdzie ich otoczył strażą i opieką lekarską. Rany ich nie są na szczęście śmiertelne.

*
* *

Naczelnik chrześcijan wystósował zaraz telegram do mnie, donosząc o wypadku. Wręczyłem go ministrowi francuskiemu p. Pichon, a ten natychmiast zażądał od Tsung-li-Yamen'a najsurowszych rozporządzeń. Rozkazy te wysłano nazajutrz telegramem i bezpieczeństwo zostało zapewnione.

7-go lipca mógł mi ks. Dumond napisać list, w któ-

rym były opowiedziane powyższe szczegóły. Doskonały nasz minister p. Pichon ze zwykłą sobie sprężystością traktował sprawę z Tsung-li-Yamen'em, kiedy wicekról prowincyi, jeden z najwyższych mandarynów cesarstwa napisał wprost do mnie list, który mi przyniósł wysłany przez niego mandaryn.

Wicekról Junk-Lu, jeden ze czterech członków Wysokiej Rady, raczył być obecnym przy mojej konsekracyi; on to, jako jedna z najwyższych godności, zaproszonych na śniadanie, przy tej okazyi z najuprzejmiejszą grzecznością wniósł toast na cześć nowego biskupa. Przypomniał on mi tę okliczność w swem liście, powoływał się na oznaki swej dla mnie przyjaźni, opisał z najściślejszą dokładnością szczegóły zaszłe w Pao-tyn-fu, obiecywał zupełną i hojną naprawę, prosił, żebym całą tę sprawę załatwił z nim po przyjacielsku.

Napisałem tedy do ministra Francyi, prosząc go, żeby wstrzymał sprawę, jeżeli to będzie uważał za stósowne i upoważnił mnie do omówienia jej z wicekrólem. P. Pichon nietylko na to pozwolił, ale nawet przyrzekł swą zgodę na warunki, jakie ułożymy, tudzież pomoc do ich wykonania w razie potrzeby.

*
* *

Posłałem zatem do wicekróla urzędowy list, w którym skreśliłem następujące propozycye:

1) Ustąpilibyśmy rządowi chińskiemu naszej małej rezydencyi w Pe-koan, zbroczonej krwią Misyonarzy, wystawionej na ciągłe napaści i rabunki rozbestwionych żołnierzy i złodziei, wskutek czego nie może być dalej przez nas zamieszkałą. Na odszkodowanie dałby nam rząd chiński na całkowitą własność stary pałac zwany Tao-tai, położony w samym środku Pao-tyn-fu.

2) Pałac ten odrestaurowany przez władze miejscowe oddaliby naszym konfratrom sami mandarynowie,

którzy wszyscy wyszliby naprzeciw Misyonarzom i wprowadzili ich z wielką pompą do nowej rezydencyi, gdzieby im wystawili obiad, w czasie którego wyjaśnić się ma i załagodzić cała sprawa tak przed mandarynami, jak przed ludem całym.

3) Ponieważ krew Misyonarzy żadnemi nie da się opłacić pieniądzmi, nie żądamy żadnego zadosyćuczynienia w pieniądzach, prócz 1500 franków dla pokaleczonej służby.

4) Winni, którzykolwiek oni są, winni być przez wicekróla ukarani z całą surowością prawa chińskiego.

Zaraz nazajutrz przysłał wicekról telegramem konsens na wszystkie warunki, a w dwa dni później delegat jego przyniósł mi obok dziękczynnego listu Jego Ekscellencyi wszystkie dokumenty opatrzone jego podpisem i pieczęcią. Zapewniają one nam na wieczne czasy posiadanie tej własności cesarskiej, którą oddał nam rząd chiński i cesarz na własność.

Papiery te posłałem niebawem do ministra Francyi przez ks. Jarlina, asystenta domu. Pan Pichon bardzo się ucieszył i przysłał mi urzędowy list z powinszowaniem i całkowitem uznaniem, który to list wraz z wszystkimi dokumentami złożyłem w naszem archiwum.

* *
*

Pozwól, kochany konfratrze, że dla lepszego zrozumienia korzyści, jakie przez to odnieśliśmy, dołączę kilka uwag.

Naszą małą rezydencyę w Pé-Koan składały kaplica chińska pięćdziesiąt stóp długa, pięć czy sześć pokoi i ogród warzywny. Wybudowana w miejscu osobnem daleko za miastem, była ciągle wystawiona na rabunek, nadto prawie zawsze w porze deszczowej zalewała ją woda. Przez długie lata uchodziło to miejsce za niezamieszkalne, lecz niepodobna było osiąść w mieście nawet

za cenę największej sumy pieniędzy. Miasto Poa-Tyn Fu w samej rzeczy nie wynosi więcej jak 1500 metrów kwadratowych, posiada przeszło 75 t. z. pałaców, i należy prawie wyłącznie do rządu. Trzeba okoliczności takiej jak ta, żeby sobie do niego bramy otworzyć. Teraźniejszy nasz pałac znajduje się w samym środku miasta i przytyka murem do pałacu prefekta. Wynosi on 160 metrów z północy na południe i 70 od wschodu na zachód, wzdłuż najludniejszej ulicy miasta. Liczy 211 pokojów, z których połowa przynajmniej jest w jaknajlepszym stanie, wszystkie zbudowane z cegły, a budulec z drzewa pierwszego gatunku. Wartości przedstawia przynajmniej dziesięćkroć więcej, niż dawne nasze mieszkanie. Jest to właściwie „dar“, a jeśli w akcie użyto wyrazu „wymiana“, to dlatego tylko, że mniej był dla nich uciążliwy, niż pierwszy.

Wicekról bardzo był zbudowany z tego, żeśmy nie żądali żadnych pieniędzy dla siebie, choć wzięliśmy trochę wynagrodzenia dla służby. Wreszcie pochlebiało mu to, żeśmy uniewinniali władze miejscowe, które w samej rzeczy postąpiły sobie bardzo dobrze, tudzież, żeśmy pozostawili wysokiej jego sprawiedliwości wymierzenie kary winnym. Sprawa ze wszystkiem trwała dziesięć dni. Pozostawało już tylko wprowadzić w czyn to, co już było ugodzone.

* * *

Konieczną było rzeczą posłać do Pao-Tyn-Fu człowieka zdolnego, któryby w porozumieniu z ks. Dumond ugodził się z mandarynami o ostateczne granice nowej rezydencyi, i czuwał nad dokładnem wykonaniem warunków ugody.

Ks. Jarlin był w sam raz dobry do tego. Obrotny i uprzejmy, znający się wyśmienicie na sprawach chińskich, władający dobrze językiem, umiejący traktować

z mandarynami, kieruje już od dziewięciu lat sprawami misyi w wielkim dystrykcie Pao-Tyn-Fu. Posłałem go więc z całem pełnomocnictwem do wicekróla, który dołączył do niego własnego delegata, i obaj stanęli w stolicy prowincyi, dzięki parowcowi, który wicekról oddał im do dyspozycyi.

W trzech dniach ukończono wszystko i według umowy, konfratrzy nasi tak Europejczycy jak Chińczycy zostali wprowadzeni uroczyście w lektykach do swej nowej siedziby, w towarzystwie wysokich mandarynów miasta, którzy wydali na ich cześć wielki bankiet, w czasie którego pierwsze zajmował miejsce ks. Jarlin, jako mój przedstawiciel. W parę dni po jego powrocie udałem się osobiście do Tientsin z podziękowaniem do wicekróla, który mię podejmował z wielką okazałością i szczerą przyjaźnią. Uznał wraz ze mną zasługi ks. Jarlina i obiecał przedstawić go cesarzowi do nominacyi na mandaryna drugiego rzędu pierwszego stopnia z jasno-niebieską kulką. Podanie zostało przyjęte i po ośmiu dniach cesarz przysłał swój dekret.

Odznaka ta, którą i ja miałem przez dziesięć przeszło lat, dopóki mnie cesarz nie wyniósł na mandaryna pierwszego rzędu, oddała wiele usług w sprawach misyjnych, jak to każdemu wiadomo. Daje ona w samej rzeczy wolny przystęp do Tsung-Li-Yamena i do wszystkich najwyższych mandarynów. Nikt lepiej, niż ja nie oceni przywileju ks. Jarlina, bo dziś, jutro, może mnie zabraknąć, a byłoby rzeczą dobrą, żeby ktoś upoważniony mógł po mnie dalej podtrzymywać przyjacielskie stosunki nawiązane pomiędzy misyą a rządem chińskim.

*
*   *

Budowa kościoła w nowem naszem miejscu w Pao-Tyn-Fu staje się nieodzowną, wypada tam również za-

prowadzić wszystkie nasze dzieła, i posłać sporo pieniędzy i pracowników, bo od opisanych wypadków, katechumeni zgłaszają się w wielkiej liczbie, i niebawem spodziewamy się ochrzcić ich z kilka tysięcy.

Pozostaję zawsze i t. d.

† *Alf. Favier,*
n. k. Z. M.

KRONIKA.

Kraków. Zimową porą, jak się to u nas od 17 lat praktykuje, urządzaliśmy w kościele naszym na Kleparzu rekolekcye dla wiernych, biorąc każdy stan osobno. Ponieważ prace misyjne w ubiegłym roku późno w jesieni się przeciągły i znowu z nadchodzącą wiosną mają się nowe odbywać misye, rekolekcyi w tej porze daliśmy tylko 4 serye. We wszystkich najwięcej brali udział Górnoślązacy. Gdy przez lato ludzie zamożni — panowie jeździli do wód i na rozrywki, poczciwy ten, pracowity i oszczędny ludek składał fenig do feniga, by mieć za co do Krakowa zajechać. Kraków dla pobożnego ludu ze Śląska to te zdroje zbawiennych wód, które ich umysły i serca pokrzepiają. Spieszą tu by sumienia swoje uspokoić przez generalne spowiedzi, inni, żeby się kazań, nauk exhort nasłuchać i tym sposobem jeszcze się więcej do pobożności zapalić a wszyscy przytem oglądając pamiątki i zabytki, z których Kraków od wieków słynie, i na duchu się pokrzepiają, bo im tu wszystko dawną świetność Polski przypomina. Stąd też pomimo, że ćwiczenia duchowne dla ludu u nas od kilkunastu lat się odbywają, a przytem i w okolicznych parafiach w dyecezyi krakowskiej już były misye parafialne prawie wszędzie, serye naszych rekolekcyi mają zawsze dostateczną frekwencyę uczestniczących. Z utęsknieniem wyglądają Ślązacy

wiadomości, kiedy dla jakiego stanu odbywać się będą i gromadzą się na nie licznie.

1. Tak pomimo mnóstwa zajęć, jakiemi obarczeni są mężczyzni pracujący po kopalniach i fabrykach na Ślązku, pomimo, że przy nadchodzących świętach Bożego Narodzenia fabryki i kopalnie miały więcej jeszcze jak zwykle zamówień, a stąd dla robotników i natłok pracy większy, zebrało się samych mężczyzn z Górnego Ślązka 300; nie licząc młodzieży, tudzież tych, którzy z Królestwa Polskiego i tu z Galicyi się przyłączyli. Nauki głoszone poprostu i zrozumiale widocznie brali sobie do serca; u wszystkich można było zauważyć poważny, zbolały nastrój, a przy konfesyonałach słychać było jęki skruszonych pokutą serc; na niejednem oku łza się zakręciła. Na zakończenie przybył Najdostojniejszy nasz Książę-Biskup i jak zwykle odprawił mszę św., rozdał sam komunię św.; potem bierzmował, wreszcie do wszystkich gorąco przemówił, zalecając uległość i posłuszeństwo Kościołowi, zwłaszcza w naszych burzliwych czasach. Jak kiedyś w czasie potopu wyginęło wszystko, co było poza arką — a ocalał Noe tylko sam z rodziną i tem co do korabia wprowadził tak po wszystkie czasy — i za dni naszych zguba wieczna, potępienie oczywiste grozi tym, którzy są poza Kościołem, jak również i tym, którzy lubo do Kościoła pozornie należą, jednak słuchać go nie chcą. Upomniał też Najprzewielebniejszy Arcypasterz, żeby pilnie i regularnie do kościoła na nauki chodzili, z uwagą ich słuchali a jak słowo Boże głoszone tu przez kapłanów w czasie rekolekcyi rozbudziło w nich wiarę i pobożność, że dziś mówić mogą z uczniami do Emaus idącymi: „Ażaż serca nasze nie pałały w nas, gdy w drodze mówił i Pisma nam otwierał“ (Luc. XXIV) podobnież ta sama nauka Jezusa Chrystusa, którą kapłani po kościołach w niedziele i święta

głoszą, tegoż ducha pobożności i wiary podtrzymywać i utwierdzać będzie. — Serya ta rekolekcyi odbyła się od 19 do 23 grudnia 1898 r.

2. Dziewczęta odprawiły swoje rekolekcye od 9 do 13 stycznia b. r. Lubo stan ten zwykle odznacza się ruchliwością i nieuwagą jak żywe-srebro, jednak ta serya jakoś wyjątkowo odprawiła swoje ćwiczenia poważnie, spokojnie i budująco. Z samego Ślązka przybyło dziewcząt 700 a do tych przyłączyło się nieco z Królestwa i tutejszych sąsiadek. W kłopocie o pomieszczenie tak wielkiej liczby na noclegi w czasie rekolekcyi przyszły w pomoc nasze poczciwe Siostry, dając schronienie w poczekalniach swej szkoły św. Stanisława Kostki najmniej połowie rekolektantek. Niech im to P. Jezus nagrodzi!

Termin tych rekolekcyi wypadł na czas śliczny i wyjątkowo wyprosiły go sobie w kierownictwie dziewczęta (zwykle męskie serye w tym czasie przychodzą).

W tym to prześlicznym czasie stroją u nas po kościołach szopki a wśród ludu naszego po kościołach i domach brzmią staropolskie kolędy. To też przez cały czas rekollekcyi kościółek nasz jakby szopkę betleemską przypominał i to osobliwszą, bo w otoczeniu dziewcząt. Od rana do wieczora codzień w wolnych od nauk i czytań chwilach słychać było te prześliczne pienia; a jak pasztuszkowie kiedyś, za nimi Trzej królowie odchodząc ze szopki betleemskiej czcili Zbawiciela darami, i te kolendniczki nasze oblegały konfesyonały niosąc Zbawicielowi w dani — serca skruszone. Na konkluzyę znowu raczył przybyć Najdostojniejszy Książę Biskup. Po mszy św. i komunii wybierzmował 99 (jakby 99 dobrych owieczek) a potem w przemowie życzył wszystkim „Pokoju“, który światu zwiastowali aniołowie nad szopką betleemską. Zarazem w tej przydłuższej przemowie swojej przestrzegał Najdostojniejszy Książę Kościoła przed grzechami,

które pokój ten z serca każdego katolika a zwłaszcza w panieńskim stanie usunąć mogą.

Znaczna część rekollektantek odjechała już rano do domu; inne pozostały, by być na przedstawieniu „Jasełek", które dziatwa szkoły łobzowskiej pod kierownictwem naszego dawnego „Dziecka Maryi" (jeszcze do dziś dnia medal nosi) WP. Karola Gajewskiego, osobno dla nich urządziła.

3. Ciszę, jaką się zwykle kościoły nasze krakowskie odznaczają, znowu przerwały zastępy Ślązaków, którzy tu za tydzień po odjeździe dziewcząt gromadnie nadciągli. Zrobiło się i na ulicach ludniej, bo kompanie ciągły jedna za drugą i po kościołach gwarniej, bo je zwiedzali poczciwi Ślązacy — a który umiał pisać, notował na karcie, co gdzie zauważył, by to drugim w domu opowiedzieć. Nasz dom kleparski był jak zawsze punktem zbornym tego pochodu. Niektórzy zjawili się już w niedzielę 22 stycznia zrana — i ci w liczbie około 150 wieczorem tegoż dnia byli na przedstawieniu „Jasełek", które Stowarzyszenie katolickich rzemieślników „Praca" pod przewodnictwem Przew. ks. Tomasza Bukowskiego znakomicie wykonało. Muzyczną część odegrała prowadzona przez tegoż kapłana tutejsza „Harmonia". Mówiąc nawiasowo, warto tu nadmienić, że od czasu, jak i w Krakowie zaczęto się więcej dolą rzemieślników zajmować i utworzono dla nich katolickie stowarzyszenia: „Przyjaźni", „Pracy", „Gwiazdy" szeregi socyałów znacznie zmalały.

Mężczyzn przybyło na rekolekcye ze samego Ślązka 400 nie licząc tutejszych i z Królestwa Polskiego. Konkluzyę znowu uświetnił obecnością swoją nasz Najczcigodniejszy JEks. Książę-Biskup. Po mszy św., komunii i bierzmowaniu przemówił do zebranych, rozpoczynając od tekstu: „Idąc na cały świat opowiadajcie

Ewangelię wszystkiemu stworzeniu“ (Matth. XXVIII) i wykazał jak z jednej strony Zbawiciel włożył na Apostołów i ich następców, którymi są biskupi i kapłani, obowiązek przepowiadania, nauczania; tak znowu chciał, by wierni zawsze i chętnie na nauki spieszyli i słuchali ich pilnie.

4. Czwarte w tym czasie rekolekcye odprawiły kobiety zamężne i wdowy w terminie od 6 do 10 lutego b. r. Było wszystkich z górą 700. Na zakończenie i teraz przybył Najdostojniejszy Arcypasterz: miał mszę św., rozdawał komunię, bierzmował a potem i ciepłe słowo na drogę dorzucił. Wspomniał na początku swej przemowy o uzdrowieniu ślepego na drodze do Jerycha. Rzesza słysząc jego błagania: „Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nademną!“ fukała na tego biedaka, żeby był cicho — a on jeszcze z większą natarczywością woła, błaga i zostaje wysłuchany — a potem za to wspaniale Zbawiciela wielbi i dzięki Mu składa. To obraz tych, którzy rekolekcye odprawiali.

Z powodu nadchodzących niebawem nowych prac misyjnych, dalsze serye rekolekcyjne w tym czasie przerwane zostały.

Sokołówka. Nie dawno temu podaliśmy czytelnikom Roczników wiadomość o nowym kościółku w Choderkowcach, dziś dzielimy się z nimi nader pocieszającymi dowodami jak P. Jezus z tej nowej rezydencyi swojej błogosławi i Misyonarzom i Siostrom, które z Nim sąsiadują i całej okolicy. Okoliczny lud dziwnie się rozruszał; kto go znał poprzednio, aniby przypuścił, że ta dawniej taka ciężka kanonierya, której i w niedzielę nie można było do kościoła sprosić, potrafi rychlej wstać, pogawędki skrócić, żeby przyjść do kościoła nawet w powszedni dzień. Chwała Bogu, teraz idą i to rychło — nawet z dalszych wiosek. Księża Misyonarze codziennie po kilka godzin

słuchają tu spowiedzi a w niedziele i święta nieraz do samego południa pracują bez przerwy.

W Choderkowcach przybyła ubiegłego roku ochronka dla dziatwy — i to jakby czarodziejską siłą stanęła... Dawniej przy wjeździe do tutejszego domu siostrzeńskiego stał dosyć wielki budynek i okazały na zewnątrz a przeznaczony na pomieszczenie trzody chlewnej. Gdy napływ dziatwy był coraz większy, tak, że już niepodobna było wszystkich pomieścić w skromnym domeczku Siostr, gdzie się dotąd zbierały, usunięto trzodę do innego budynku, a ten przerobiono na ochronę, pralnię, szwalnię, zebrania brackie itp. Dnia 15 grudnia w oktawę Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi odbyło się uroczyste poświęcenie tego budynku w nowej jego postaci. Żeby i ten obrzęd na sercach ludu tutejszego zrobił jak największe wrażenie (Rusini co prawda lubią parady), wysilano się, żeby go jak najwspanialej odbyć. Ale skądże się tu zdobyć na parady okazałe wśród biednej wioski, gdzie wszystko prymitywną prostotą nacechowane Poczciwa S. Paulina ze Siostrą Gabryelą, wyczerpując całą siłę swoich pomysłów stulały to chustki, to fartuchy, to inne świecidełka, żeby ten obchód jakoś ustroić. Tak zrobiły osobliwszą chorągiew z szarfami białemi i niebieskiemi i inne pomniejsze rekwizyta. Nadjechał też ze swoich wycieczek pruskich Czcigodny ks. Kiedrowski — dusza tych wszystkich spraw i obchodów i pokierowa resztą. Odprawiła się msza św. z wystawieniem SSmi. Po niej nastąpiło poświęcenie chorągwi, którą następnie niosła dziewczynka a 4 inne trzymały za szarfy. Cały pochód wyszedł na ulicę i udał się do ochrony. Tu Czcigodny ks. Kiedrowski dokonał aktu poświęcenia, a następnie powiedział śliczną naukę o kształceniu dziatek i uczeniu się katechizmu. Potem dzieci pod kierownictwem Siostry Heleny śpiewały rozmaite kantaty a jedno

z nich powiedziało mówkę dziękczynną. Zaśpiewano „Anioł Pański“; starsi się rozeszli, a dzieci w liczbie około 200 zatrzymano na sute śniadanie fundowane przez Czcigodnego ks. Kiedrowskiego.

Gdy aktu poświęcenia dokonywano, właśnie nadchodząca poczta przyniosła pozwolenie od Najjaśniejszego Monarchy, by ochronka w Choderkawcach w roku jubileuszowym Jego rządów wybudowana i poświęcona, a zarazem na pamiątkę w tymże roku tragicznie zgasłej Jego Najdostojniejszej Małżonki Elżbiety tytułem Jej szczycić się mogła.

Pod koniec zeszłego roku postanowił Czcigodny ks. Kiedrowski w nowym kościółku choderkowieckim urządzić rekolekcye dla dziatwy katechizmowej i wezwał w tym celu jednego z kleparskich Misyonarzy do pomocy. Rekolekcye miały się odbyć w ostatnich 3 dniach roku. Gdy się atoli zabierano do rozpoczęcia pracy, pokazało się, że nietylko dzieci, ale i starzy poprzychodzili. Zrobiono ustępstwo z tem jednak zastrzeżeniem, że tylko ci, którzy tu do Różańca należą, będą mogli w rekolekcyach brać udział — i to za kartkami. Ale i kartki nie pomogły: jak zobaczyli, że i starzy i młodzi idą, ruszyły się kompanie i różańcowych i nie-różańcowych tak, że kościółek ani połowy nie mógł pomieścić. W dniu 28-go grudnia wieczorem odprawiło się tylko nabożeństwo; jeden z księży powiedział naukę i zapowiedział, że rekolekcye odbędą się nieco później, mianowicie w pierwszych 3 dniach Nowego Roku, bo na taką masę trzeba się inaczej obejrzeć. Rozpisał tedy pozwy Czcigodny ks. Kiedrowski na wszystkie strony: do Jezierzan, Lwowa, Witkowa: Przybywajcie, ratujcie! Z Jezierzan nikt nie przybył, ale z Witkowa przybył ks. Superyor Rossmann a ze Lwowa ks. Steindl i jak więcej żniwiarzy stanęło, można było poważniej do pracy się zabrać. Zwłoka

nietylko pracy nie szkodziła, ale owszem pomogła, bo sobie rozpowiedzieli jeszcze więcej. Dowiedzieli się i parafianie z Bóbrki, ba, nawet ze Świrza i wszystko to ciągło wytrwale przez 3 dni, a widząc Misyonarzy, którzy tu i na misyi przed 7-laty pracowali, mówilili sobie, że to renowacya. Jakoś w drugim dniu rekolekcyi spadł śnieg; do kościółka zaledwie cząstka mała weszła; reszta w śniegu i błocie stała na polu. Księża się cieszyli, że było do kogo i pomówić i zasiąść w konfesyonale; ale kościółek paradny z całą swoją ozdobną szatą — jakże się nagle podstarzał. Na ołtarzu ustawiczna powódź, ze sklepienia para skroplona spłukuje co się da, nie szczędząc i złota i farb, stąd komże nasze co dopiero świeżutkie się wzięło, najrozmaitszemi zdobiły się odznakami. A co dzień wieczorem, jak się ludzie rozeszli po kilka godzin drapano z posadzki błoto łopatami, żeby jako tako nazajutrz w kościółku wyglądało, a radykalne czyszczenie po skończeniu ćwiczeń duchownych 3 dni trwało. W spowiedzi dopomagali obydwaj miejscowi księża, tudzież z Bóbrki ks. Tyll ze swoim wikaryuszem. Wyspowiadało się około 1000 dusz obydwu obrządków. W środę 4 stycznia odprawił ks. Iliasiewicz prob. obrz. gr. kat. mszę św. i rozdał swoim komunię św. Łacińska zaś komunia odbyła się na sumie we czwartek 5 stycznia. Niektórzy księża zostali jeszcze do soboty i prawie cały czas spowiadali. Na Trzech Króli domagali się łacinnicy, żeby im wodę poświęcić — jak u Rusinów jest zwyczaj w to święto. Ponieważ nie przewidziano tego rychlej, urządzono poświęcenie wody św. Wincentego w najbliższą niedzielę. Znowu naszło narodu z flaszkami, dzbankami a rozbierali sobie wodę, mówiąc, że to z „polskiego Jordanu“.

W Trzech Króli wieczorem odegrały dzieci choderkowieckie komedyjkę w 2 aktach p. t. „Grymaśnica

ukarana". Rzecz sama wprawdzie nie tak klasyczna; ale że choderkowskie dzieci coś podobnego potrafią — to osobliwość. W niedzielę I po Trzech Królach odbyło się rozdawanie nagród. Przeszło 300 osób dostało to chustki, to fartuszki, szaliki, gorsety itp.

Po wyjeździe Misyonarzy kościół z biedą wrócił do siebie a lud zaczął rozważać, jakby z ekstazy wyszedł. Stary jeden sąsiad lubi sobie z księżmi pogwarzyć a jak nie ma rzeczywistego powodu, to na poczekaniu co ułoży niby we formie porady, lub zażalenia, żeby tylko z księżmi pogadać. A głowa już i zbałamucona, to ustawicznie jakieś zajścia ma z rodziną. Przychodzi już po rekolekcyach do księży ze skargą, że go zięć kwaśnem mlekiem oblał; ale już nie chce na niego kląć — jak przedtem — otrze spokojnie i będzie dobrze, a chciał tylko Ojcom duchownym zameldować, jaki to despetny ten zięć niecnota! Była tu jedna kłótnica, która nikomu spokoju nie dała... Zaczyna znowu po renowacyi po swojemu dogadywać a druga jej powiada: „Dajcieno spokój: nie godzi się po tej świętej misyi tak hałasować i te święte osoby w klasztorku turbować — pogódźmy się!" Na to słowo zaczęły przed sobą klękać i całować się po rękach — i zgoda. — A jeden z gospodarzy już i grosze składa i chętnie kolej chce księżom opłacić, żeby tylko jeszcze kiedy przyjechali a taki „fajny praznyk" odbyli.

W Jezierzanach z przybyciem dwóch nowych konfratrów, którzy tam rezydują w przerwach między misyami, i w parafii nowy ruch, nowe życie się obudziło. Odegrano tam „Jasełka" z dekoracyami penzla ks. Krzyszkowskiego. Zbiegła się na nie inteligencya miejscowa i okoliczna a ludu pełna strażarka. Czysty dochód w kwocie 80 złr. przeznaczono na odzienie dla biednej dziatwy szkolnej.

Na seryo tam również myślą o założeniu stowarzy-

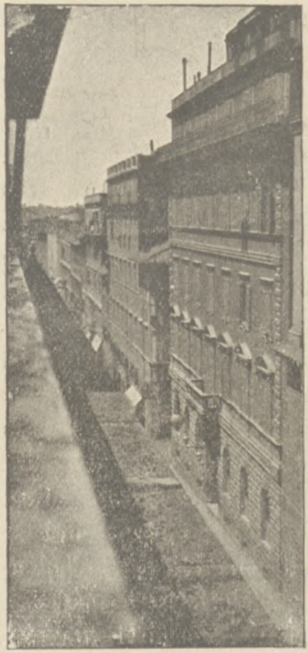
szenia dla młodzieży męskiej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Mają mieć osobny lokal w nim czytelnię, gry towarzyskie itp. Wiele to zapowiada pożytku dla całej parafii, zwłaszcza dla młodzieży. Życzymy kierownikom tej instytucyi i męstwa i szczęścia i zwycięstwa.

Francya. Dzienniki paryskie unoszą się nad zasługami niedawno zmarłych dwóch Sióstr Miłosierdzia: Siostry Perboyre i Gélas. S. Perboyre mając lat 18 udała się do Chin, by zdala od ojczyzny, wśród trudów i znoju przez 65 lat pracować między biednym ludem chińskim. A w czasie tych prac i ciężkich nieraz prześladowań jedynem jej serca życzeniem była śmierć męczeńska. Ominęła ją ta łaska, lecz życie jej było i tak ciągłem męczeństwem. Umarła w 83 roku życia, stojąc do ostatniej chwili jak żołnierz na posterunku. Siostra Gélas udała się r. 1833, mając dopiero lat 20, do Syryi. Widziała jak tu okrutni muzułmanie niezliczoną ilość dziatwy, ofiary swych zbrodni, w morze rzucają. Zabolało jej serce nad tem barbarzyństwem i prosiła jak o łaskę, żeby się mogła temi biednemi istotami zająć. Zajęła się też niemi, a wpływ jaki umiała zyskać sobie u Turków sprawił, że zaprzestano tego ochydnego zwyczaju. W roku 1855 założyła Siostra Gélas domy Sióstr Miłosierdzia w Jerozolimie i u stóp Libanu. Odtąd nieszczęśliwi mieszkańcy Ziemi świętej poznali swoje dobrodziejki, które inaczej nie nazywali jak „nasze wielkie białe ptaki". Po licznych trudach zmarła ta dzielna córka św. Wincentego, licząc 85 lat życia.

We Villepreux, miejscowości uświęconej pracą św. Wincentego i wielebnej Ludwiki de Marillac, założyły Siostry Miłosierdzia nowy dom. Instalacyi i poświęcenia domu dokonał sam biskup z Versailles.

Włochy. Rzym. Pisaliśmy w poprzednich Rocznikach

o naszym domu międzynarodowym studyów w Rzymie. Tutaj podajemy rycinę tegoż domu.



W Chieri w naszym domu pod Turynem, odbyły się w lipcu ubiegłego roku rekolekcye dla kapłanów, którym przewodniczył sam arcybisk. Turynu Mgr. Richelmy. Pod koniec rekolekcyi powzięto myśl ukoronowania statuy N M. P. od Cud. Medalika, umieszczonej w nowym kościele, zwłaszcza że przypadała na ten czas rocznica koronacyi N. M. P. w Paryżu. Pewna świętobliwa osoba, ofiarowała już poprzednio wspaniałą złotą koronę, zrobioną na model paryskiej. Po uzyskaniu pozwolenia świętej Kongregacyi dokonał koronacyi Mgr. Richelmy w asystencyi ks. Superiora. Udział w tej wspaniałej uroczystości brali wszyscy kanonicy turyńscy, przeszło 200 kapłanów i niezliczone tłumy ludu. Dla dogodzenia pobożności wiernych, zostawiono kościół przez całą noc otwarty, a lud pogrążony w żarliwej modlitwie, tłumnie zalegał świątynię Pańską, by nazajutrz rano wysłuchać mszy świętych o objawieniu Cudownego Medalika, odprawianych nieustannie przez 150 księży przed siedmiu ołtarzami.

Persya. Pocieszające, a zarazem i smutne dochodzą nas wieści z Persyi. Pocieszające, bo widzimy z nich, że nasza św. religia robi w tych stronach postępy, smutne bo wierni nasi w ostatnich czasach są bardzo uciskani pod względem materyalnym przez niesfornych urzędników perskich.

W okolicy Khosrowy osiedliło się niedawno kilku protestanckich pastorów i predykantów amerykańskich. Staraniem tych panów było oderwać od nas kilka katolickich gmin. Z listu ks. Demuth do Mgr. Lesné dowiadujemy się, że wysiłki ich pozostały dotychczas bez skutku. Wielkiem natomiast powodzeniem cieszyły się misye, których ks. Demuth odprawił przeszłego roku 13, obchodząc miasta w pobliżu Khosrowy leżące. Ludność katolicka, nawet osoby najbardziej zajęte obowiązkami swego stanu, przychodziła z wielką pilnością na te święte ćwiczenia, a na prośby wiernych wystawiał ks. Demuth przez całą noc Najśw. Sakrament ku nieustannej adoracyi. Katolicy, wszyscy bez wyjątku, przystępowali do Sakramentów św. Nawet nestoryanie i protestanci uczęszczali na te nabożeństwa ku wielkiemu niezadowoleniu swoich pastorów. Kilka rodzin napół obałamuconych przez tych opowiadaczy fałszu, przepraszało potem publicznie wiernych za dane zgorszenia. Znajdowało się też między katolikami kilka rodzin powaśnionych. Miejscowy ks. proboszcz, mimo całego swego wpływu, nie mógł ich pogodzić, jednakże w czwartym dniu udało się to gorliwym zabiegom naszego Misyonarza. Protestanccy pastorowie byli w strachu o swoich wyznawców, a to tem więcej, że kilku ich katechetów, pod wpływem słyszanych kazań, zaczęło powątpiewać o prawdziwości swej wiary. Porozumieli się więc z predykantami amerykańskimi i postanowili odprawić misyę już nie dziesięcio, ale trzydziestodniową. Zorganizowali więc kilka grup, złożonych z predykantów

i katechetów, ci obchodzili wszystkie domy, zachęcając i katolików na ich misye. Jednakże było to wszystko bez skutku. Predykanci zakończyli też swoją misyę, nie wyrządziwszy nam żadnej szkody.

Ks. Boucays donosi nam o smutnym położeniu ludności niektórych okolic Persyi, dotkniętych przeszłego roku nieurodzajem. Żniwa zapowiadały się jak najładniej, gdy w tem nagle w nocy z 24 na 25 maja ogromne spadły śniegi; nie dosyć na tem, przez 15 dni trwały silne przymrozki, które zupełnie zniszczyły nadzieję rolników. Na dobitek nieszczęścia, co tylko biedni wieśniacy zdołali uratować, zabrali wszystko niesforni urzędnicy perscy. Najbardziej cierpi ludność katolicka, która musi opatrywać nietylko swoje rodziny, ale także biednych armeńskich powstańców, ukrywających się przed rządem, by ich ten Turcyi nie wydał. Razu pewnego przybyło do miasteczka Mehllem 11 zbiegów armeńskich, spodziewając się, że przezimują tu u swoich współwyznawców. Byli oni dobrze zaopatrzeni w broń i sporą ilość kartaczy. Gospodarz jednak u którego przebywali, doniósł o nich władzy. Gubernator wysyła zaraz 150 ludzi, by ich pojmali. Biedni Armeńczycy bojąc się, aby nie sprowadzili jakiej rzezi katolików, nie użyli swej broni, lecz zastrzelili się jeden drugiego. Dziewięciu padło, jeden uciekł, ostatniego uwięziono i wydano Turcyi. Lecz kara nie ominęła nędznego zdrajcy, nazajutrz znaleziono jego, jego żonę i córkę bez głów.

Afryka. Abisynia. Dzielny Misyonarz ks. Coulbeaux, donosi nam o reorganizacyi naszych domów w Abisynii. Donieśliśmy już poprzednio o łaskawem usposobieniu Menelika i o jego dekrecie, przysądzającym nam dawne nasze domy i posiadłości. Oto jak się przedstawia tutejsza misya:

1) Alitiena. Dom w tej miejscowości objęło Zgro-

madzenie 1 czerwca ubiegłego roku, seminaryum liczy już 20 uczniów, pod dyrekcyą ks. Gruson i jednego księdza krajowca. Ks. Picard, dawny weteran abisyński, z drugim księdzem krajowcem oddają się pracy misyjnej. Ta praca jednak zupełnie inaczej wygląda niż u nas. Oto rano siada sobie Misyonarz na kamieniu przed kościołem i wzywa do siebie wychodzących w pola szejków, mężczyzn, niewiasty etc. Ci siadają około niego bez żadnych ceremonii, słuchają co im Misyonarz powie, odpowiadają na pytania, radzą się, a odprawiwszy modlitwy, udawają się do swych zajęć. Misyonarz podąża za nimi, a we wieczór gromadzi ich znowu na wspólny różaniec. Nabożeństwo to ma dla tych poczciwych pasterzy niesłychany urok, każdy pragnie być wpisanym do tego bractwa. Lud ten jest bardzo spokojny i lubi przychodzić teraz na nabożeństwa.

2) Gouala. Stacya ta będzie w przyszłości stacyą centralną dla naszych misyi, gdyż leży w najlepszem położeniu i nad dwoma drogami prowadzącemi w głąb kraju. Tu będzie też przeniesione nieco później seminaryum z Alitieny. Przy końcu pory deszczowej zamyśla ks. Coulbeaux zabrać się do odrestaurowania naszego domu, zrujnowanego w r. 1872 przez Włochów. Tutaj zamyśla także ten gorliwy pracownik osiedlić Siostry Miłosierdzia, zbudować dom dla krajowych zakonnic, później kościół, szkoły itp.

3) May-Brazio. Stacya ta, równoleżna do Gouda, leży na wyżynie Sassih. Objął ją w posiadanie ks. Kidané, a pomaga mu jeden ksiądz krajowiec dopieroco nawrócony. Pracy tu bardzo wiele, a siły Misyonarza długoletnią pracą zupełnie stargane.

Francuskie „Misye katolickie“ wydały pod tytułem: „W kraju Menelika“ opis podróży ks. Coulbeaux i jego towarzyszy z Djibouti aż do Adoua, a więc odbytej przez

całą długość Abisynii. Ks. Coulbeaux narysował także mapę okolic przebytych. Jestto dokument bardzo ważny, gdyż okolice te są dotychczas zupełnie nieznane i niezbadane.

Madagaskar. Ojciec św. brevem z 5 lipca 1898 podzielił północny Madagaskar na dwa wikaryaty: północny i środkowy. Północny został powierzony ojcom z kongregacyi Ducha św., środkowy zaś zatrzymali nadal Jezuici. Wikaryat południowy powierzył Ojciec św. w roku 1896 naszemu Zgromadzeniu, gdzie obecnie nasi konfratrzy pracują.

Przeszłego roku założono dwie nowe stacye misyjne: w Ampasimene i Farafanganie. Farafangana, miasteczko leżące w najzdrowszej i najpiękniejszej części wyspy, liczy około 6000 mieszkańców. Dokoła leżą bardzo gęsto zaludnione wioski, a mieszkańcy odznaczają się z pośród innych Madagassów wielką pojętnością i żywem zainteresowaniem się. Praca misyonarska, jak o tem zapewniali Misyonarzy nawet oficerowie francuscy, ma tu świetne widoki. Obecnie mieszkają tu księża Lasne i Bludreau, wysłani w te strony przez Mgr. Crouzeta. Zaraz nazajutrz po swem przybyciu otworzyli ci niestrudzeni Misyonarze szkołę; po trzech tygodniach mieli już około siebie 60, a przy końcu drugiego miesiąca okrągłą setkę wesołej dziatwy. Protestanci otworzyli tu również szkołę, lecz nawet pogańscy rodzice nie przysłali im żadnego dziecka. Generalny gubernator Madagaskaru odwiedził naszych konfratrów i był bardzo zadowolony z wyników ich pracy. Sam egzaminował dzieci, a te odpowiadały czysto po francusku, bez zająknięcia się, na rozmaite pytania. Rozdał też pomiędzy nich wiele podarunków. Protestanci tutejsi zeszli teraz na drugi plan, a przez założenie katolickiej szkoły, wytrącono im na długie czasy miecz z ręki.

Ameryka. Stany Zjednoczone. Ks. O. Donoghues z Germantownu przysyła ks. Generałowi sprawozdanie z działalności Misyonarzy tego domu. Począwszy od października 1897 r. do czerwca 1898 odprawiono 18 misyi, podczas których wysłuchano 39.340 spowiedzi. Praca ta obejmowała kilka Stanów Ameryki, dla objazdu których trzeba było przebyć kilka tysięcy mil drogi. Ludność przyjmowała Misyonarzy z wielką uprzejmością i chętnie przyjmowali od nich Medalik Cudowny i czerwony szkaplerz. Podczas wakacyj rozjechali się też księża profesorowie dawać rekollekcye Siostrom, rozmaitym zakonnikom i zakonnicom W naszym zaś domu zebrali się księża świeccy i odprawili z budującą pobożnością rekollekcye duchowne.

W Luizyanie postanowił rząd wybudować nowy zakład dla trędowatych, gdyż dotychczasowy szpital, znajdujący się w okolicy zupełnie pustej i odludnej, nie odpowiada bynajmniej nowoczesnym wymogom. Nieszczęśliwe kaleki nie mogą się zająć żadną robotą, ponieważ po największej części trąd chwycił się ich rąk i nóg. Dlatego też mają biedne Siostry Miłosierdzia bardzo wiele do pracy, zwłaszcza, że nie mogą dostać żadnej służby. Panuje w tym zakładzie jak najlepszy duch, we większe święta przystępują wszyscy do Komunii św., a później dawają Siostry w refektarzu jakie nadzwyczajne danie; przyczynia się to w bardzo wysokim stopniu do utrzymania dobrego usposobienia i humoru.

Gdy się zaczęła wojna amerykańsko-hiszpańska ofiarowała Siostra Flynn, Wizytatorka Sióstr Miłosierdzia w Ameryce, usługi swego Zgromadzenia rządowi. Ofiarę tę przyjął rząd bardzo chętnie, a ponieważ początkowo wszystkie ambulatorya były dostatecznie zaopatrzone, zawezwano Siostry dopiero w lipcu do szpitala wojskowego w Portsmouth. Leżeli tu przeważnie katoliccy żołnierze,

a między nimi kilku uwięzionych hiszpanów. Naczelny lekarz, człowiek bardzo szlachetny, chcąc osłodzić ich dolę, zawezwał na miejsce protestanckich infirmarek nasze Siostry. Jak tylko pokazały się one na salach, ogarnął żołnierzy ogromny entuzyazm. Szczególniej byli rozrzewnieni żołnierze hiszpańscy, którzy z wielkiej radości tylko te słowa: Madre, Madre, Madre, wypowiedzieć zdołali. Jedna z nich Siostra Viktoryna była rodzona Hiszpanką, zyskała ona też ogromny wpływ na serca Hiszpanów. Wszyscy się wyspowiadali, uprosiwszy ją sobie za tłumacza, w wieczór zaś gromadzili się koło niej, dla odmówienia wspólnie koronki. Ponieważ choroby wśród wojska amerykańskiego coraz bardziej się szerzyły, chciał minister wojny rozmówić się osobiście ze Siostrą Wizytatorką. Udała się więc Siostra Flynn do Washingtonu, a przyjęta zaszczytnie przez ministra, ułożyła się z nim co do ilości potrzebnych Sióstr. Prezydent Mac Kinley, dowiedziawszy się o pobycie Siostry Wizytatorki w Washingtonie, wyznaczył jej audyencyę, na której z nią, z bardzo wielkim uznaniem o zasługach Sióstr rozmawiał. W kilka dni potem 200 Sióstr rozproszyło się po różnych ambulatoryach. Kilka Sióstr wysłano do Sant-Jago de Cuba, gdzie były bardzo gościnnie przyjęte przez hiszpańskie Siostry. Nie mogąc się jednak rozmówić, myślały biedne hiszpanki, że te przyjechały zająć ich miejsce, zasmucone więc zabierały się już do wyjazdu. Wreszcie jednak zrozumiały, że te Siostry z Ameryki przyjechały tylko pielęgnować 1500 żołnierzy amerykańskich. Prezydent Mac Kinley zwiedzając osobiście ambulatorya, nie mógł się dość nachwalić porządku, jaki tam Siostry zaprowadziły, a żołnierze szanowali je jak matki rodzone. Jeden protestant tak pisze do swego przyjaciela: Jeślibym kiedy zmienił religię, tobym został jedynie katolikiem, gdyż wiara, która zdoła wzbudzić ta-

kich opiekunów chorych, jakiemi są Siostry Miłosierdzia, nie może być tak złą, jak dotąd myślałem. Mój Boże! jakaż to różnica między niemi, a naszemi zwykłemi infirmarkami.

Brazylia. Ks. Karol Tissander z Diamantiny, nadesłał ks. Generałowi sprawozdanie z misyi, które on wraz z swoim superyoram odprawił w dyecezyi Diamantiny. Dyecezya ta liczy około 80 parafii, większych od niejednej dyecezyi europejskiej. Dość powiedzieć, że niektóra ma do 40 mil długości, na jakie 10 do 15 mil szerokości. Zwykle liczy taka parafia 5 lub 6 gęściej zaludnionych miejscowości, nieraz bardzo od siebie odległych. Nie dziw przeto, że jeden proboszcz tak ciężkiej pracy podołać nie może, zwłaszcza jeśli się uwzględni nader trudną komunikacyę w kraju, gdzie o kolejach lub bitych gościńcach zdaje się jeszcze nie słyszano. Proboszcz siedzi zazwyczaj od rana do wieczora na koniu, a i tak bardzo często się zdarza, że przez długi czas, niekiedy parafianin go ujrzy. Jak trafnie można tu zastosować te słowa proroka: Parvuli petierunt panem et non erat qui frangeret eis! Ks. Biskup widząc konieczną potrzebę kilku Misyonarzy, wysyła już od 16 lat dwóch Misyonarzy i ci przez 7 lub 8-letnich miesięcy ewangelizują po tej obszernej dyecezyi.

Od marca do lipca 1898 r. pojednali, ks. Antoni Arémar superyor i ks. Tyssander, 8000 dusz z Panem Bogiem, od lipca zać do listopada 15.000. Oto jak ci dzielni Misyonarze swoje uciążliwe i niebezpieczne misye odprawiają. Otrzymawszy pozwolenie od ks. biskupa, donoszą ks. proboszczowi, do którego parafii zamyślają udać się, dzień otwarcia misyi, a ten ogłasza go wiernym. Niebawem w dniu oznaczonym zbiera się całymi tłumami ludność. Jedni jadą na koniach, za nimi inni na wozach, podobnych do naszych cygańskich bud, z całymi rodzi-

nami, z zapasami żywności na kilka dni. Jest to straż przednia, za nią postępuje piechota, jest to rdzeń armii misyjnej. Rozumie się, że misyi nie można odprawić w kościele. Obiera się na ten cel plac, mający około 100 m. obwodu. Na samym przedzie siedzą kobiety z dziećmi na kolanach, za niemi stoją mężczyźni i podrostki, a tu i ówdzie plączą się psy wielkie i małe, warcząc na każdego, ktoby im śmiał odmówić prawa do przebywania na tem miejscu. Przez pierwsze trzy dni audytoryum coraz się zwiększa. Przez 2 pierwsze dni przysposabiają Misyonarze lud do spowiedzi, w trzecim dniu spowiedź. We wieczór przed zakończeniem misyi poświęca się koronki, medaliki, krzyżyki etc. Jest to może najuroczystsza chwila dla tej ludności, która ogromne znaczenie do sakramentaliów przywiązuje. Gdy zaś misyonarz udziela im papieskiego błogosławieństwa, wszystko schyla w kornej modlitwie swe czoła, wymawiając to jedno słowo: „En peccador". Po ukończeniu misyi, odprowadza Misyonarzy do następnej parafii bandera złożona z 60 do 80 jazdy. Zaiste żniwo tu wielkie, ale robotników bardzo, bardzo mało!

Antylle. Z uwagą śledziliśmy w Europie przebieg ostatniej wojny, a czyniliśmy to z tem większem zajęciem, że chodziło nam o to, jakie będzie położenie obu rodzin św. Wincentego z końcem wojny. Pokój zawarto i okazuje się, że przejście Cuby w ręce Amerykanów wyrządziło nam dość znaczne straty. Superyor z Niagary, ks. Mac Halle z drugim konfratrem, udał się na Cubę, by na miejscu zbadać stan obydwóch rodzin. Rząd dał im bezpłatny przejazd na parowcu, a oficerowie byli dla nich bardzo uprzejmi. Gubernator Cuby, Generał Broaks, przyjął ich bardzo serdecznie i zapewnił, że w żaden sposób nie myśli tknąć się majątków duchownych. Ze strony rządu więc nie mamy się czego obawiać. Chodzi

tu o co innego. Misyonarze i Siostry Miłosierdzia dostawały od rządu hiszpańskiego roczną subwencyę, gdyż jedni i drugie nie mieli żadnych dochodów. Tymczasem rząd amerykański nie wspiera materyalnie żadnej religii, cofnął też tak Misyonarzom jak i Siostrom dotychczasowe pensyę. Siostry przeważnie wróciły do Hiszpanii, Misyonarze ze Sant-Jago de Cuba musieli chwilowo ustąpić. Miejmy nadzieję, że w tych ciężkich chwilach św. Wincenty o swoich synach nie zapomni.

Filipiny. Ks. Emanuel Oriols, wizytator Zgromadzenia na Filipinach, donosi Najprzewielebniejszemu ks. Generałowi, kilka szczegółów, tyczących się obu rodzin św. Wincentego. Początkowo, gdy Amerykanie wydali Hiszpanii wojnę, Tagalowie byli dość przychylnie usposobieni względem Hiszpanów. Niedługo to trwało. Naczelnicy buntu, przybywszy z Hong-Kongu, podburzyli ludność, która zbuntowawszy się, zaczęła oblegać Manilę od lądu, gdy tymczasem Amerykanie obsaczyli miasto od morza, grożąc zupełnem zbombardowaniem, jeśli się nie podda. Gubernator, widząc, że całe miasto rozpadnie się prędzej w gruzy, niż jaka z Europy odsiecz nadejdzie, poddał stolicę. Podczas tego trzechmiesięcznego oblężenia panował w stolicy głód, a Siostry Miłosierdzia nie miały prawie żadnej żywności dla chorych. Poza miastem było jeszcze gorzej. Tu Tagalowie, podburzani przez masonów, rzucili się na zakonników; kilku okrutnie zamordowano, a bardzo wielu uwięziono. Powstańcy wpadli też do naszego domu macierzystego „św. Marcellina“ pod Manilą, lecz dowiedziawszy się, że to dom Ojców Paulistów, tak tu Misyonarzy ludność nazywa, zostawili wszystko w pokoju.

Najwięcej wycierpiały Siostry Miłosierdzia, kilka też z nich umarło. Amerykanie zapewnili Misyonarzy i Siostry Miłosierdzia, że z ich strony nie grozi im żadne

niebezpieczeństwo. Oby podczas teraźniejszych zaburzeń Najświętsza Panna i św. Fundator zachowali obydwie rodziny od wszelkich nieszczęść.

ZMARLI:

Ks. Franciszek Biondelli, 40 lat życia, 18 pow. † 15 grudnia 1898 r. Monte Citorio (Rzym).

Ks. Józef Aspetti, 76 lat życia, 57 pow. † 16 grudnia 1898 r. w Peruzyi (Rzym).

1899 r.

Brat Józef Tinet, 30 lat życia 7 pow. † 9 stycznia 1899 r. w domu de Cavalla - Konstantynopol.

Ks. Jerzy Salvaire, 52 lat życia, 33 pow. 4 lutego w Lujan (Argentyna).

Augustyn Gianeane, brat, 81 lat życia, 61 pow. † 8 lutego w Neapolu (Neapol).

Ks. Franciszek Zainker, 90 lat życia, 46 pow. † 19 lutego w Wiedniu (Austrya).

Brat Serapion Jalamo, 58 lat życia, 38 pow. † 24 czerwca w Puebla (Meksyk).

Ks. Kalikst Irlandés, 64 lat życia, 42 pow. † 6 marca Oran (Algier).

Ks. Henryk Combes, 30 lat życia, 12 pow. † w marcu Rio de Janeiro (Brazylia).

Ks. Ferdynand Brigogas, 28 lat życia, 8 pow. † w marcu Rio de Janeiro (Brazylia).